Nr. 35. Lwów — Środa dnia 12 Lutego. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na Prowincyi . . . . . 6 „

Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 60 „
w innych państwach „ 2 „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 5 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 30 „
Nekrologia . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Eulalii P. — Kyra i Joan.
Jutro: św. Katarzyny — 1 Fewr. Trytona

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 7 m. 20 — Zachód „ „ 5 „ 11

Długość dnia g. 9 m. 51 — Przybyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 11 lutego.

Petersburski *Goniec Urzędowy* ogłasza w części politycznej:

„Kiedy rząd cesarski odwołał w roku 1885 swoich agentów z księstwa bułgarskiego, ogłosił wówczas komunikatem z 28 listopada, że tym czynem bynajmniej nie zamierza zerwać więzów, łączących Bułgaryę z Rosyą. Bułgarya jest utworem rosyjskim; istnienie swe zawdzięcza ciężkim ofiarom i usiłowaniom rosyjskiego narodu. Już dlatego rząd cesarski nie mógł nie śledzić z żywem współczuciem wszystkich objawów społecznej organizacyi Bułgaryi, jej teraźniejszego położenia i jej przyszłych losów. Oświadczamy i teraz, żeśmy czekali tylko szczerego nawrócenia się Bułgarów, aby zapomnieć przeszłości i przywrócić stosunki z księstwem, oparte na wzajemnem zaufaniu, wolnem od wszelkiej egoistycznej dążności. Pierwszy krok w tym kierunku jest właśnie uczyniony. Ks. Ferdynand zwrócił się do J. C. Mości z pisemną prośbą o wysłanie specyalnej rosyjskiej reprezentacyi do Sofii na uroczystość zjednoczenia się młodego ks. Borysa z prawosławną cerkwią. Przed trzema laty, gdy nadeszła wiadomość, że ówcześni bułgarscy dzierżyciele władzy postanowili skłonić przedstawicieli narodu do zmiany § 38 tirnowskiej konstytucyi, którym-to paragrafem ustanowiono, że książęcy dom powinien należeć do cerkwi prawosławnej, musiał rząd cesarski podnieść głos przeciw tej nowości. Komunikatem z 21 lutego 1893 roku ostrzegł on wszystkich Bułgarów bez różnicy stronnictw przed niebezpieczeństwem, które groziło narodowi zboczeniem z tradycyjnej drogi, którą kroczył przez długie wieki. Głos Rosyi, zawsze odczuwające cierpienia i rozstrój współwierczych plemion na Wschodzie, wraził się w serca Bułgarów. Naród ten i jego rządzcy uznali konieczność obrony panowania prawosławnej wiary i jej ustalenia — tej wiary która jest rękojmią nierozerwalnych duchowych więzów, łączących Rosyę z oswobodzoną przez nią Bułgaryą. Wiadomość o tem była przyjęta wszędzie w Rosyi z radośną sympatyą. — Ożywiony wspaniałomyślnością i szczerą życzliwością dla Bułgaryi uwzględnił najjaśniejszy pan prośbę księcia Ferdynanda i polecił najmiłościwiej, stosownie do tej prośby, wysłać do Sofii jenerał majora orszaku cesarskiego hr. Goleniszczewa-Kutuzowa, aby tam w zastępstwie J. C. M. występował jako świadek i ojciec chrzestny przy dokonaniu Sakramentu chrztu i namaszczeniu olejami świętymi małoletniego syna księcia“.

W tym komunikacie godne jest uwagi to głównie, że zacytowano jedno zdanie z komunikatu z 28 listopada 1886 r. Komunikat ów był wystosowany do mocarstw wtedy, gdy pamiętna misya jenerała Kaulbarsa skończyła się fatalnie dla Rosyi, a deputacya bułgarska objeżdżała europejskie dwory, błagając je o poparcie stworzonego w Bułgaryi stanu rzeczy i o wskazanie księcia, któryby zajął tron, opuszczony przez Aleksandra Battenberga. W skutek tych błagań wynurzyła się kandydatura Koburga i wtedy-to właśnie rząd rosyjski wystosował swój komunikat, w którym powiada, że zaprzecza legalności temu wszystkiemu, co się w Bułgaryi stało i nigdy nie uzna czynów, które zechce dokonać mniejszość, rządząca za pomocą gwałtów i czyniąca z narodu narzędzie rewolucyjnych namiętności. Dalej powiedziane było w tym komunikacie, że jeśli utrwali się w Bułgaryi to, co jest zamierzone, to kraj ten stanie się ogniskiem anarchii, źródłem wszelkich niepokojów, stale zagrażających pokojowi na bałkańskim Wschodzie. Komunikat nie poskutkował, Bułgarya poszła obraną drogą, a Rosya ściśle starała się o to, aby sprawdziły się jej przepowiednie: spiski, dynamitowe zamachy, urządzanie zbrojnych wypraw, mordowanie polityków bułgarskich w Sofii i Konstantynopolu trwały bez przerwy. Nareszcie energia Stambułowa zwyciężyła robotę „nieurzędowej“ Rosyi i nastał spokój. Lecz tu niespokojna ambicya Ferdynanda zaczęła wdrażać inny kierunek, który po rozdartych zwłokach Stambułowa doprowadził do dzisiejszych wypadków, przepowiedzianych przez konającego już Stambułowa. Odpowiadano mu wówczas w rządowych bułgarskich dziennikach, że zmyśla i szerzy oszczerstwa, a on mówił tylko to, co wiedział, iż będzie.

Teraźniejszy komunikat rosyjski już zamilczał o dawnem przyrzeczeniu rosyjskiego rządu, iż nigdy nie uzna tego, co się stało w 1886 roku, lubo inną część ówczesnego komunikatu przypomniał. Wynika z tego, że Petersburg mówi Koburgowi: „Jeszcze tego nie dosyć, lecz pracuj dla Rosyi — i miej nadzieję!“

On będzie pracował — to rzecz niezawodna!

„Zachód rzucił na mnie anathemę, lecz jutrzenka wschodnia różowo opromieniła moją dynastyę i przyszłość naszą oświetla“. Tak rzekł Ferdynand Koburg do deputacyi sobrania, która przyszła mu podziękować za apostazyę. Powiedział następnie bardzo słusznie: „Co ja zrobiłem, to takie ogromne i głęboko wrażające się w uczucia, że równych temu czynów jeszcze nie znają dzieje“. On się tem pochwalił, jako dowodem nadzwyczajnego a zacnego poświęcenia. Lecz zaraz potem przypomniał, że niewszyscy tak ocenili jego wyznaniowe *salto mortale*, że mianowicie znalazły się i w Bułgaryi pisma, które z pogardą odezwały się o tej wschodniej jutrzence, otaczającej promieniami jego dynastyą, — więc rzekł: „Nie wymagam od narodu hałaśliwych owacyi, ani płaszczących się hołdów, lecz szacunku i zaufania. Spodziewam się, że 2-ego lutego starego stylu (dzień, w którym przechrzczą Borysa) będzie dniem zwrotnym w opinii publicznej i że w Bułgaryi nie znajdzie się miejsca dla tych nikczemnych pism, które służą poziomym interesom intrygantów i niesumiennych opozycyonistów“. Stosowało się to do stambułowczyków. Rzecz naturalna, że Ferdynand ich nienawidzi, a że szkaluje, to zrozumiałe, lecz gdy powiada, że oni są „niesumienni“, przychodzi na myśl, że niekażdemu wolno używać tego wyrazu.

Francuski dwór Ferdynanda Koburga, — więc mistrz ceremonii hr. Bourboulon, marszałek dworu hr. Foras i inni wyjechali z Sofii. Za to przybywają do niej delegaci od wielu rosyjskich dzienników pod przewodnictwem redaktora ultra-panslawistycznego *Świeta* p. Komarowa.

Czytelnikom wiadomo, że konsulowie wielkich mocarstw prowadzili rokowania z Ormianami, którzy posiadają miasto i forteczkę turecką Zeitun. Szło o to, aby się ci Ormianie poddali. Ze strony tureckiej żądano od nich wydania przywódców i broni, oraz odbudowania zburzonych koszar. Na to nie zgodzili się Ormianie, a nadto zażądali: rozbrojenia muzułmanów w całej okolicy, darowania podatków za sześć lat wstecz i za trzy przyszłe, zamianowanie chrześcijanina naczelnikiem powiatu i niezwłocznego wprowadzenia wszystkich reform. Na to wszystko znowu Porta się nie zgodziła — i tak rokowania spełzły na niczem. Konsulowie odjechali. Teraz ambasadorowie mają się naradzić nad dalszem postępowaniem. A tymczasem patryarchat ormiański wniósł skargę do ambasadorów na tureckie władze, które w różnych okolicach Azyi Mniejszej przymusowo i w sposób barbarzyński zniewalają całe wioski ormiańskie do przechodzenia na islam. Z tego powodu zaszły podobno tu i ówdzie krwawe starcia i znowu szerzy się wzburzenie, które obejmuje i Turków. Tych wielu pod zarzutem spiskowania na rzecz konstytucyi aresztowano teraz w Konstantynopolu. Zwłaszcza uwięziono wielu oficerów marynarki.

Rozmowa z b. ministrem bułgarskim.

Piszą nam z Wiednia 9 lutego:

Nasz zasadniczy sąd o znanym zwrocie w Bułgaryi nie może ulegać modyfikacyi. Nie jest on zależnym od tego, czy krok, do którego posunął się ks. Ferdynand, zapewni mu polityczne korzyści, czy nie? Zdawało nam się jednak ciekawą rzeczą, pomówić o tej kwestyi z mężem najdokładniej obeznanym ze stosunkami bułgarskimi, odznaczającym się wytrawnym sądem, samodzielnością i bezstronnością. Mężem takim jest profesor wszechnicy tutejszej dr. Konstanty Jireczek, syn ś. p. Józefa, austryackiego ministra oświecenia w gabinecie hr. Hohenwarta, autor najlepszych „Dziejów“ Bułgaryi, od roku 1879 najprzód jako generalny sekretarz, potem jako minister kierownik wychowania publicznego w Bułgaryi, który wprawdzie już w roku 1885 powrócił do Austryi, ale utrzymuje ścisłe związki z Bułgaryą i bacznie śledzi rozwoju tamtejszych stosunków.

Na zapytanie, czy istotnie naród bułgarski, któremu powszechnie przypisują pewną obojętność w kwestyach religijnych, domagał się przejścia Borysa na prawosławie, profesor Jireczek odpowiada, że w ostatnich czasach w Bułgaryi, jak pomiędzy Grekami, zaznacza się pewne ożywienie ruchu religijnego, prawosławnego. Stambułow, a więcej jeszcze niektórzy jego radykalni przyjaciele, lekceważeniem tych uczuć, pośrednio wzmocnili ruch ten w Bułgaryi. P. Jireczek sądzi zatem, że istotnie dość stanowczo odzywało się owo życzenie, aby następca tronu przeszedł na prawosławie.

Więcej jednak — zdaniem p. Jireczka — działają tam względy polityczno-materyalne. Niestałość stosunków, wynikająca z panowania nieuznanego księcia, przeszkadzała wszelkiej przedsiębiorczości na różnych polach, budowaniu kolei żelaznych, zakładaniu banków, fabryk i t. d, do czego Bułgarzy, jako naród wybitnie przemysłowy i handlowy, bardzo są pochopnymi. Wszelkie rozpoczęcie ważniejszych interesów rozbijało się o niepewność jutra. Zabezpieczenie stałych stosunków było więc głównym powodem, który skłaniał Bułgarów domagać się przejścia Borysa na prawosławie, jako środka uzyskania uznania księcia przez Rosyę, a następnie przez inne mocarstwa i W. Portę.

Na zapytanie, czy Bułgarya tego uznania nie okupi ewentualnie nowem narażeniem się na przewagę Rosyi? — p. Jireczek odpowiada, że stosunki znacznie się zmieniły i że Rosya już teraz nie będzie mogła wywierać w Sofii takiego wpływu, jaki tam wywierała po r. 1878. Nie sądzi też, aby „jutrzenka wschodu“, która według wczorajszej przemowy księcia Ferdynanda, błysła dynastyi koburgsko-bułgarskiej, zapowiadała np. zniesienie lub zawieszenie konstytucyi bułgarskiej. P. J. przypomina, że Rosya (potępiająca wszelkie rosyjskie mrzonki konstytucyjne), w Bułgaryi, jak dawniej w Rumunii, Serbii i Grecyi, umiała zawsze konstytucyjne instytucye wyzyskiwać na własną korzyść. Co do opozycyi, o której wspomniał książę we wczorajszej przemowie, p. Jireczek oświadcza, że w tej chwili redukuje się ona do ultraradykalnej frakcyi Karawełowa, tudzież niektórych dzienników.

Według informacyi p. J., księżna Marya Ludwika zjednała sobie w Sofii wielką przychylność. W ostatnich czasach pomiędzy nią a księciem wywiązały się nieporozumienia z powodów, nie pozostających w związku z przejściem Borysa na prawosławie. Zresztą p. Jireczek nie sądzi, aby się zanosiło w Sofii na dramat Agamemnona i Klitemnestry w nowem wydaniu, lecz przypuszcza, że księżna po pewnym czasie powróci do Sofii; na prawdę oburzonym jest książę Parmy, który od ks. Ferdynanda, przed oddaniem mu ręki córki, otrzymał formalne przyrzeczenie, że dzieci będą wychowane w wierze katolickiej.

O p. Stoiłowie, z którym p. Jireczek był już zaprzyjaźniony, gdy Stoiłów w r. 1878 uczęszczał na wszechnicę w Pradze, aby słuchać wykładów profesora Randy, i z którym potem zasiadał w gabinecie bułgarskim, wyraża się z wielkiem uznaniem, chwaląc jego poważne, europejskie wykształcenie (oprócz w Pradze, Stoiłów odbywał studya w Heidelbergu i Paryżu), majątkową niezależność i przyzwoite formy w obejściu. P. Jireczek sądzi, że Stoiłow przejścia Borysa na prawosławie domagał się istotnie w interesie skonsolidowania stosunków w Bułgaryi, a zwłaszcza dynastyi.

W ogóle p. Jireczek przewiduje bliskie uznanie księcia przez Rosyę, a następnie przez inne mocarstwa, tudzież wzmocnienie się dynastyi koburgskiej na tronie bułgarskim.

Oczywiście, moralna wartość pewnego kroku nie zależy wcale od tego, czy on przynosi polityczne korzyści, czy nie? — i trudno się zgodzić na zdanie, że moralności władzcy nie wolno mierzyć zwyczajną miarą. Chociażby więc apostazya Borysa przyniosła dynastyi koburgskiej spodziewane korzyści (wątpimy, aby je przyniosła), to krok księcia Ferdynanda pozostanie niemniej wstrętnym i nagany godnym.

Zdarzenie prawdziwe.

I.

W zachodniej części Wołynia znachodzi się miasto powiatowe Łuck, które dziś różni się jedynie tem od innych miast powiatowych tej prowincyi, że tu ma swą siedzibę sąd okręgowy (okružnyj) i że koło niego jest stały obóz wojskowy; pod względem zaś szkół mają pierwszeństwo przed Łuckiem miasta powiatowe Równe i Ostróg, gdyż pierwsze posiada szkołę realną, a drugie gimnazyum, których to szkół nie ma wcale w Łucku. Dawniej liczyło się to miasto do znakomitszych, bo w jego murach lubiał przebywać wielki książę Witold, który dla podniesienia Łucka sprawił to, iż biskup Andrzej Spławski przeniósł w pierwszej połowie XV w. siedzibę biskupią z Włodzimierza do Łucka i zaczął się odtąd tytułować „biskupem łuckim“. Jego następcy rezydowali już stale w tem mieście; ostatnim zaś biskupem łuckim był sławny mąż Adam Stanisław Naruszewicz, który umarł r. 1796. Po jego śmierci połączono r. 1798 dyecezyę łucką z dyecezyą kijowską; te połączone dyecezye otrzymały teraz nazwę za zgodą Papieża dyecezyi „łucko-żytomierskiej“. Powód tej nazwy był następujący: W roku 1667 odstąpiła Polska Rosyi miasto Kijów; biskupi kijowscy jako senatorowie polscy, nie mogli więc mieszkać w Kijowie, i zamieszkali tymczasowo w Żytomierzu, gdzie biskup Samuel Jan Ossa Ożga zbudował w pierwszej połowie XVIII w. kościół katedralny i gdzie już stale biskupi i kapituła rezydowali, co było powodem, że biskupów kijowskich nazywano także biskupami żytomierskimi. Ostatnim biskupem kijowskim (1784—1798) a oraz pierwszym biskupem łucko-żytomierskim (1798—1831) był ks. Kasper Cieciszowski.

Tak więc przestał Łuck być siedzibą biskupią, kościół jednakże tamtejszy jest zawsze katedrą, bo biskup żytomierski jest także biskupem łuckim. Otóż o tym kościele, obecnie jedynym katolickim w Łucku, opowiadają, że z dawniejszych czasów posiada wiele cennych i kosztownych przedmiotów, — szczególnie zaś podnoszą, że puszka, w której się przechowują komunikanty, jest szczerozłota i wysadzana drogimi kamieniami. Że zaś w Łucku jest zwykle dosyć wojska, nic więc dziwnego, że i między żołnierzami krążyły podobne wieści. Jeden z żołnierzy tak się przejął tymi opowiadaniami, iż postanowił sprawdzić te wieści, a nadto zapragnął stać się właścicielem tak drogocennej puszki. Ażeby doprowadzić do skutku swój zamiar, udał się pewnego wieczora na nieszpory do katedry, wsunął się niespostrzeżenie w jakiś kąt i dał się zamknąć w kościele.

Nim jednak żołnierz przystąpił do zamierzonego czynu, zaczął w samotności rozważać, że ma do czynienia ze świętą rzeczą; wysypać bowiem komunikanty, lub je zabrać ze sobą, znaczyłoby je sprofanować. Cóż tedy postanawia? Oto będzie czekał północy; a potem, będąc na czczo, spożyje komunikanty i puszkę będzie już mógł zabrać bez skrupułu ze sobą. Czeka więc północy cierpliwie; nie będąc zaś pewnym, czy już północ minęła, przeczekał aż do tej chwili, kiedy dnieć zaczęło. Teraz przystąpił śmiało do dzieła: otworzył cyboryum, wyjął puszkę i znaczną część komunikantów wsypał do gęby.

Lecz cóż się stało? Moskal — tak nazywają na Wołyniu każdego żołnierza — pochodził z gubernii, gdzie nie ma katolików; nie widział więc nigdy opłatka, i nie spożywał go nigdy. Komunikanty zwilżone poprzylepiały się moskalowi do podniebienia i do języka, on zaś, nie mogąc sobie wytłómaczyć tego zjawiska, przypuszczał, że to Pan Bóg zalepił mu gardło za karę. Przerażony tą myślą, nie mógł się ruszyć z miejsca i tak zastał go, stojącego przy ołtarzu i trzymającego puszkę w ręce, sługa kościelny, gdy rano otworzył świątynię pańską. Świętokradzcę pochwycono i oddano władzy wojskowej, która go za karę zesłała na Syberyę.

Ów żołnierz widział w tem zdarzeniu palec Boży, a mieszkańcy Łucka podzielali z nim to zapatrywanie; ale skoro w więzieniu ochłonął trochę z tego wrażenia, zaczął przemyśliwać, jakby się uniewinnić i uniknąć niechybnej kary, bo przecież schwytano go — jak to mówią — na gorącym uczynku kradzieży. Po długim namyśle — a może mu kto nawet poddał tę myśl — postanowił na swoją obronę użyć stanowiska, jakie właśnie zajął rząd rosyjski wobec katolików. (Zdarzenie to przypada bowiem na czas po 1864 r., kiedyto rząd rosyjski zaczął srożej występować przeciw katolikom).

Otóż moskal tłómaczył się, że nie miał wcale zamiaru kraść czegokolwiek w katedrze, lecz że tylko chciał dać dowód wyższości prawosławia nad katolicyzmem przez to, iż okaże, że komunia katolicka nie posiada żadnej mocy; powiedział bowiem, że ją chciał „unicztożyt'“, t. j. okazać jej nicość, co mu się jednak nie udało. Tłómaczenie to nic mu nie pomogło; wyrok sądu wojennego zapadł jako na świętokradzcę i wysłano go na miejsce pokuty, gdzie pozostawiono mu dosyć czasu do rozpamiętywań, do skruchy i do poprawy.

II.

Przed kilku laty wypadło mi udać się na Wołyń do Krzemieńca; pojechałem więc przez Radziwiłłów do Rudni, najbliższej stacyi kolejowej, tu nająłem wózek i ruszyłem zaraz w dalszą drogę. Droga z początku jest piaszczy-

---

7)

SYRENA

przez

K. W....l.

(Ciąg dalszy).

Znowu w Atrium zetknęła się z ową towarzyszką, która niedbale siedząc na sofie, paliła cygaretę, i wyszły, a Drogosław idąc w ślad za niemi, zaraz na peronie usłyszał wypowiedziane bardzo dobrą francuszczyzną, ale z lekkim angielskim akcentem, słowa:

— Wiesz, moja droga, przegrałam wszystko, ale to co do grosza; nie mam za co zjeść obiadu. Gdyby mnie kto na obiad zaprosił, nie potrafiłabym mu odmówić.

— Pozwolą panie prosić się na obiad? — rzekł z grzecznym ukłonem Drogosław.

— A to pan! — podobno obrzucaliśmy się wzajemnie kwiatami na „Bataille des Fleurs“?

— Tak jest, wtedy miałem pierwszy raz przyjemność panią widzieć.

— Czy pan przyjeżdża tu, żeby grać?

— Nie, pani, nie grywam nigdy, ale Monte-Carlo wydaje mi się czarownem miejscem, tem bardziej, że nietylko można robić ciekawe studya, ale wydarzają się i miłe spotkania.

Uśmiechnęła się na tę galanteryę, ale odrzekła:

— To pan nie zna wielkiej przyjemności w życiu; mój znajomy lord H. zapytany, co uważa za największą w życiu przyjemność, odrzekł bez namysłu: „wygrywanie w grze i w zakłady na wyścigach“, — a kiedy go zapytano, jaką drugą przyjemność uważa za największą po wygrywaniu, odpowiedział: „przegrywać“.

— Trzeba przyznać, że ów lord nie grzeszył zbytkiem galanteryi — przepraszam, może pani Angielka?

Tą — jest.

Więc zmierzając do „Hotel de Paris“, zaczęli rozmawiać po angielsku, ale po zamianie kilku zdań prosiła, aby mówił po francusku, bo jej towarzyszka nie włada angielskim językiem, i to mu się bardzo podobało, jako oznaka dobrego wychowania.

Prawdę mówiąc był on w takiem usposobieniu, że widział w niej wszystkie doskonałości.

Zdobywszy stolik zasiedli we troje do obiadu, który obficie skrapiany szampańskiem winem bardzo był wesoły. Drogosław był w siódmem niebie, nie przypominał sobie, żeby kiedy piękność kobieca zrobiła na niego takie piorunujące wrażenie („le coup de foudre“), czuł, że daleko więcej go upaja jej piękność i wiejący od niej wdzięk młodości, niż wino, które zresztą pił bardzo oględnie.

O ile mógł z zimną rozwagą myśleć, nie zdołał sobie zdać sprawy, do jakiej ona warstwy społecznej należy. Od wszystkich francuskich półświatówek, a już najbardziej od starszej swej towarzyszki, odbijała dobremi manierami i jakąś wrodzoną dystynkcyą, tak, że ją można było wziąć za osobę najlepszego towarzystwa, a jednak przyjęła zaproszenie od człowieka nieznajomego, który się nie przedstawił, — a w dodatku Angielka!

Zachodził więc w głowę, kim ona być może. Piła dużo, jak Angielki w ogóle, ale widocznie mocną miała głowę: ani wino ani likier nie działały na nią, ani cera się nie zmieniała, ani wyraz prześlicznych oczu, a jednego słowa nie powiedziała żywiej albo głośniej przy końcu, niż na początku obiadu. Za to na malowanej twarzy i w wydłużonych tuszem oczach jej towarzyszki widoczny był skutek dobrego obiadu i obfitego napitku; szczebiotała jak najęta, z akcentem czysto paryskim. Towarzyszka ta nudziła Drogosława, byłby wolał znaleźć się sam na sam z piękną Ellą, bo wśród rozmowy dowiedział się, że się tak nazywa.

Wyszli na terasę, gdzie Drogosław zapalił cygaro, a owa towarzyszka papierosa; Ella nie paliła. Po jakiejś chwili towarzyszka ta przypomniała sobie jakieś niby dane „rendez-vous“ i znikła, a zaraz potem Ella zaciągnęła Drogosława do „świątyni“ gry.

Poszli prosto do stolika „Trente et Quarante“; pożyczyła od niego kilka dwudziestofrankówek, wygrała, i zaraz mu skrupulatnie oddała pożyczoną sumę. Grała dalej dość szczęśliwie, aż do zamknięcia lokalu gry. Zwieszona u jego ramienia, błądząc po ogrodach, zdawało się, że słów znaleźć nie umie na wyrażenie wdzięczności za to, że pożyczonemi kilkoma sztukami złota przyniósł jej szczęście. Oczywiście „flirt“ ten wśród cienistych klombów coraz wymowniejsze przybierał rozmiary.

Wypili herbatę w „Café de Paris“ i zabawili tak długo, że Drogosław nie wrócił już tego wieczora do Mentony tak zwanym pociągiem zgranych (*le train des décavés*).

VIII.

Powróciwszy z owej morskiej przejażdżki Prawdzic nie bardzo się zdziwił nie widząc przy obiedzie Drogosława; tłómaczył sobie, że spotkał pewno znajomych, którzy go zatrzymali na obiad, — ale kiedy ostatnim pociągiem nie przyjechał, nie wiedział już, co myśleć; nie przypuszczał, żeby się dał uwieść chętce do gry, a układając się do snu przedsięwziął sobie, że nazajutrz pojedzie do Monte Carlo, aby odszukać Drogosława, a przynajmniej dowiedzieć się, co się z nim stało. Kiedy z rana siedział na terasie hotelu przy herbacie, zajechał z któregoś z wczesnych pociągów Drogosław.

— Cóż się z tobą dzieje? Czy może zacząłeś grać? Chciałem już jechać po śniadaniu, dowiedzieć się, czyś się wskutek zgrania nie zastrzelił, albo nie utopił.

— Ależ nie, jadłem obiad w bardzo miłem towarzystwie, — a na ostatni pociąg spóźniłem się.

— Jesteś jakiś rozpromieniony, sentymentalny, zaczynam się czegoś domyślać.

— Ale powiem ci wszystko, tylko muszę się przebrać — i poszedł.

Kiedy potem wrócił na herbatę, pierwsze jego słowa były:

— Wiesz, poznałem ją.

— Ją? kogo?

— Jakto kogo? wiesz, tę blondynkę, z którą wzajemnie obrzucaliśmy się kwiatami na „Bataille des Fleurs“ w Nizzy, spotkałem ją przy grze, zgrała się kompletnie, zaprosiłem ją na obiad, i ztąd znajomość.

— Która, jak uważam, dość szybko postępuje i zacieśnia się, skoro do Mentone nie wróciłeś. Że ładna, to wiem.

— Co ładna? — przerwał Drogosław — piękna, to jedna z najpiękniejszych kobiet, jakiem w życiu spotkał.

— Ho, ho! — coś bardzo gorąco te rzeczy bierzesz, nie wiedziałem, że z ciebie taki entuzyasta.

— A jak dobrze wychowana! jaka dystyngowana! jakiego ma psa*). Przyjedź którego z tych dni na obiad do Monte Carlo.

— Toż pojedziemy razem.

Zażenowany trochę Drogosław odparł:

— No, bardzo chętnie, ale ja się tam wyprowadzam.

— Co? co? do Monte Carlo? — nie jestem twoim opiekunem i nie czuję w sobie powołania do roli Mentora, a tyś pełnoletni i własnowolny, ale znając tutejsze stosunki od dawna, powiadam ci, że to jest „quaerens quem devoret“, i ani się opatrzysz, kiedy cię zje z nogami i głową. Przepraszam cię, ale głowa już zaczyna szwankować; a skoro ja widzę, że szalejesz za nią, to o ileż lepiej ona to widzieć musi?

— Masz słuszność, ja szaleję! a jak ją poznasz, pewno się nie będziesz dziwił.

— Wiesz przynajmniej co za jedna?

— Angielka, Miss Ella Fenton.

— I co dalej? z jakiego świata? jakiej pozycyi towarzyskiej?

— Dotąd jeszcze nic nie wiem, tyle ci tylko mogę powiedzieć, że bardzo dobrze wychowana, wcale wykształcona, no i czarująca; powiadam ci, upajająca.

— Widzę, żeś upojony. Nie bierz tego za niedyskrecyę; dużo masz pieniędzy z sobą?

— Ot, parę tysięcy franków wszystkiego, myślę tu zabawić dłużej.

— Łatwo być może, że zabawisz króciej. Ale gdybyś potrzebował na drogę, to oczywiście wielką sumą nie mógłbym ci służyć, ale tyle, ile potrzeba, aby do kraju dojechać, najchętniej. Pamiętaj, że jestem na twoje usługi.

— Najprzód mam bilet Cooka na powrót, a powtóre powiem ci, że wczoraj odemnie pożyczyła kilka sztuk złota na grę...

— Więc już zaczęła.

— Tak, ale wygrawszy, oddała.

— Naturalnie, one tak zawsze zaczynają.

— E! jakiś ty podejrzliwy.

— A któż ci zaręczy, że ona nie jest jedną z tych, które administracya domu gry sprowadza na wabika, aby ludzi do gry wciągać?

— Nie potrzebuję cię zapewniać, że mnie nie wciągnie.

— Daj to Boże i chcę w to wierzyć, ale i tego nie można być pewnym, czy ona swojemi pieniądzmi grała, czy dostarczonemi przez administracyę, a przegrywając nie liczyła na twoje rozczulenie. Ale darmo ci to mówić, widzę, żeś taki rozamorowany, że żadne rozsądne argumensa do ciebie nie trafią.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

*) Wyrażenie paryzkie, mówi się o kobiecie, że ma „du chien“ zamiast „du chic“, to coby w Warszawie wyrażono: „ma szyk“.

sta, to też konie postępują powoli; lecz dalej grunt jest kamienisty, a po obu stronach drogi widać kupy krzemienia, pozbieranego z pól i nagromadzonego tutaj; wózek przeto po tej drodze toczy się prędko, z turkotem, a ja zbliżam się coraz bardziej do pasma górskiego, które się tu ciągnie od Złoczowa, a w wąwozie poprzecznym kryje w sobie miasto Krzemieniec. Im bliżej jestem tych gór malowniczych, tem gwałtowniej nasuwają mi się na myśl wypadki, tyczące się Krzemieńca.

Oto przypominam sobie Tadeusza Czackiego, który otrzymawszy r. 1803 nominacyę na wizytatora szkół, widzi, że szkoły, istniejące na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, mają nie wielki zakres nauki i że się dlatego mieszkańcom tych ziem mało przyczyniają do oświaty; stara się więc o założenie szkoły wyższej, co jednak dla braku funduszów nie może przyjść do skutku. Czacki nie daje się tem zrazić; prosi rządu o pozwolenie zbierania składek, a uzyskawszy je, jedzie od dworu do dworu, odwiedza także pałace panów i zachęca wszystkich do ofiary na szkołę.

Skutek tych zabiegów był nader pomyślny; w krótkim bowiem czasie zebrał tyle pieniędzy, iż już r. 1805 mógł otworzyć szkołę.

— Budowa szkoły pochłonęłaby znaczną część zebranych funduszów i trwałaby czas dłuższy; w Krzemieńcu zaś stoi pustką obszerny kościół i klasztor po-Jezuicki z dużym ogrodem, a obok jest jeszcze budynek po-Reformacki: jest więc gdzie pomieścić szkołę. Przeto roku 1805 otwarto tu uroczyście liceum, które r. 1833 przeniesiono do Kijowa, tworząc z niego uniwersytet rosyjski, w skutek czego potrzeba było powiększyć fundusze szkoły, bo owe pieniądze, złożone przez szlachtę polską, wystarczały na utrzymanie liceum, ale na utrzymanie uniwersytetu wystarczyć nie mogły.

W pobliżu pasma górskiego droga jest znowu piaszczysta; a gdy się przejedzie przez most na rzece Ikwie, który nazywają królewskim, wjeżdża się niezadługo w wąwóz, którędy najdogodniejszy jest przystęp do Krzemieńca. Ile to powozów i bryczek toczyło się tędy dawniej, kiedy to liczna młodzież dążyła na naukę do tego miasta, albo kiedy śpieszyła do domów rodzicielskich na święta, lub na wakacye!

Wjechawszy w wąwóz, rozglądam się na około, ale miasta nie widać; widzę tylko po obydwu stronach wysokie ściany gór, a w ścianie po lewej ręce u góry warstwy kamienne, które wyglądają tak, jakby były poukładane z grubych płyt kamiennych. Ujechawszy dobry kilometr, spostrzegam, że się wąwóz rozszerza; ale zamiast miasta okazuje się po środku góra podłużna, ciągnąca się tu od góry Bony, która się wznosi wysoko tuż obok miasta i która uwieńczona jest wspaniale i malowniczo murem warownym na szczycie. Na cyplu tej nowej góry widać jakiś kamień, niby postument jakiegoś posągu, którego nie ma. Nie mogąc sobie wytłómaczyć coby to było, zapytuję właściciela wózka o ten kamień; lecz on zamiast odpowiedzieć zapytuje mnie, czy jestem katolikiem? Zdziwiłem się tem mocno, iż się pyta o moję religię, bo nie mogłem pojąć związku między mojem wyznaniem wiary a tym kamieniem; odpowiedziałem jednak, że jestem katolikiem i że pochodzę z Galicyi. Teraz dopiero objaśnił mi mój woźnica ów przedmiot na górze, a to opowiadając w ten sposób:

„Przed 20 laty nakazał rząd, żeby przy drogach pousuwać wszystkie figury, t. j. krzyże i posągi świętych. Tu na tym kamieniu stała od dawna statua Matki Boskiej, którą postawił jakiś pobożny katolik; a chociaż to miejsce nie jest przydrożne, ale że z drogi widać było Matkę Boską daleko, nie podobało się to „naczalstwu", tem bardziej, że statua była katolicka: przeto kazano ją usunąć. Trudna jednak była sprawa z usunięciem, bo statua kamienna Matki Boskiej miała grubą sztabę żelazną, która była głęboko wpuszczona w postument; statua do tego była ciężka, to też nie można jej było ani podnieść, ani strącić. Ale naczalstwo znajdzie na wszystko sposób: wysłano kilku moskali, a ci zarzucili Matce Boskiej na szyję grube sznury i tak długo ciągnęli za nie w jednę stronę, dokąd statua nie pękła i nie runęła na ziemię. Statuę Matki Boskiej odwieziono potem do kościoła, a postument pozostał na miejscu.

„Teraz, kiedy cara Aleksandra III koronowano w Moskwie, chciało naczalstwo w Krzemieńcu uczcić to zdarzenie i na pamiątkę koronacyi postanowiło na tym postumencie umieścić wielki krzyż złocony, ażeby go stąd ludzie daleko widzieli. W tym celu rozpisano składkę, potem kupiono krzyż wspaniały i umieszczono go tu z odpowiednim napisem. Ale cóż się stało? W tydzień po uroczystem poświęceniu tego krzyża, nadciągnęła wielka chmura; huczało w niej okropnie i deszcz zaczął padać dużymi kroplami; wtem błysnęło straszliwie i piorun uderzył w krzyż tak silnie, iż krzyż spadł z postumentu i połamał się na kawałki, a postument sam pękł od góry do dołu".

To opowiadanie zakończył woźnica następującem twierdzeniem: „Nie chcieli prawosławni Matki Boskiej katolickiej, a Pan Bóg im pokazał, że nie chce ich krzyża prawosławnego".

Po wysłuchaniu tego opowiadania zrozumiałem dopiero, dlaczego mnie się pytał woźnica, czy jestem katolikiem; a także pojąłem i to, że takie zdarzenia utwierdzają katolików w Rosyi w wierze katolickiej, nad której wytępieniem rząd tam tak gorliwie pracuje.

III.

W roku ubiegłym obchodził świat katolicki uroczyście 600 letnią rocznicę przyjścia na świat św. Antoniego Padewskiego; szczególnie zaś uroczyście obchodzono ten jubileusz w dwóch miastach: w Lizbonie w Portugalii, gdzie się ten święty urodził, i w Padwie we Włoszech, gdzie umarł i gdzie spoczywają jego zwłoki. W naszym kraju doznaje powszechnie ś. Antoni czci szczególnej, a także miasto Padwa ma dla nas pewien urok jeszcze z tego względu, iż tam śpieszyło dawniej wielu Polaków, ażeby się kształcić w szkole tamtejszej i to nie tylko w czasach przed założeniem akademii krakowskiej (r. 1364), ale i później, bo sława tej szkoły zachęcała młodzież naszą do udawania się do Włoch i do szukania światła nauki właśnie w Padwie. Te więc zeszłoroczne uroczystości padewskie skłaniają mnie do skreślenia pewnego zdarzenia, które cudowność swoją zawdzięcza ś. Antoniemu.

Na Wołyniu w pewnem małem miasteczku istnieje obok dwóch cerkwi parafialnych prawosławnych, czyli schyzmatyckich, także kościół katolicki, w którym jeden ołtarz jest poświęcony czci ś. Antoniego, a główny obraz w ołtarzu przedstawia tego świętego.

W temto miasteczku żył pewien gospodarz zamożny, o którym twierdzili sąsiedzi, że jest najbogatszym człowiekiem tego miasteczka. Posiadał on rzeczywiście znaczną sumę pieniędzy, które przy zapobiegliwości i gospodarności zebrał w sposób uczciwy jeszcze w owych czasach, kiedy na Wołyniu były w obiegu monety złote i srebrne; skarb zaś swój przechowywał w miejscu ukrytem, o którem nawet żona jego nie wiedziała. Ów gospodarz przychodził od czasu do czasu w owo miejsce, aby się przekonać, czy są w schowku pieniądze, i raz spostrzegł ku swemu wielkiemu przerażeniu, że skarb znikł zupełnie, bo nie pozostało z niego ani rubla. Zmartwił się tem niemiłem odkryciem niezmiernie, a to tembardziej, że nie wiedział nawet, co tu począć, bo kradzież popełniono tak zręcznie, iż nie mógł nikogo o nią posądzić. Smutkiem swoim podzielił się dopiero po niejakim czasie z sąsiadami, którzy długo nie mogli pojąć, dlaczego ich sąsiad był tak smutny. Wieść o kradzieży rozniosła się prędko po całem miasteczku z tym dodatkiem jeszcze, że schowanych rubli była ćwierć cała; złodzieja jednak nie mógł się nikt w nikim domyśleć.

Kilka tygodni upłynęło, a wszystkie zabiegi i starania były daremne, bo nawet śladu złodzieja nie odkryto; to też poszkodowany postanowił teraz udać się o pomoc do Boga i przyszedł pewnego dnia do księdza z prośbą, żeby przed ołtarzem św. Antoniego odprawił mszę św. na intencyę odnalezienia pieniędzy. Ksiądz był już kilka lat proboszczem w tem miasteczku i znał swoich parafian; to też wiedząc, że to nie jego parafianin, a nadto obawiając się, żeby nie miał nieprzyjemności z tego powodu, iż bierze na mszę od prawosławnych, bo tam w takich sprawach ksiądz musi być ostrożny: przeto poradził mu, żeby się udał do popa (tak tam nazywają duchownych prawosławnych) i dał na „mołebeń" (nabożeństwo). Gdy jednak ów gospodarz wyjaśnił, że był już u obydwóch popów i zapłacił każdemu po rublu, i gdy dodał jeszcze, iż wie, że katolicy czczą św. Antoniego jako patrona zgubionych rzeczy, ksiądz nie mógł się już oprzeć jego usilnej prośbie: wziął więc rubla i oznaczył dzień i godzinę, kiedy odprawi mszę św.

W oznaczonym czasie przyszedł nasz gospodarz do kościoła, a chociaż prawosławni nie klękają, pomimo tego klęczał przez całą mszę i nabrał otuchy, że Bóg wysłucha jego prośby. Ze swobodniejszym tedy umysłem powraca do domu, a gdy był już blisko swego domostwa, wybiega naprzeciw niego jego własny parobek, którego nikt nie podejrzywał o przywłaszczenie sobie pieniędzy, bo niedawno stanął do służby, i zaczyna go przepraszać za zmartwienie, które mu sprawił; on bowiem zaraz w pierwszym dniu służby odkrył przypadkiem schowek z pieniędzmi, które ukrył w innem miejscu, a teraz mu je zwróci; 7 zaś rubli przyrzeka odsłużyć, gdyż tyle wziął z owego skarbu na swój użytek.

Gospodarz ucieszył się teraz mocno tem, że dał na mszę do św. Antoniego, bo jedynie temu zdarzeniu przypisywał tak prędkie odzyskanie swych pieniędzy; jednakże nie postąpił sobie tak, jakby to na chrześcijanina wypadało. Bolało go to bowiem bardzo, iż przez swego parobka miał tyle zmartwienia; to też nie przebaczył mu jego winy, lecz przeciwnie, rozgniewany na niego, przemyśliwał nad tem, jakby go za wyrządzoną krzywdę ukarać, i sądził, że najlepszy sposób będzie ten, iż go zaskarży do sądu o kradzież 7 rubli, co też uczynił. Źle jednak wyszedł na tem, gdyż potrzeba było skruchę i żal parobka uwzględnić i zadowolić się tem, że się pieniądze znalazły. Bo cóż się stało? Oto sąd kazał uwięzić parobka; gdy się zaś przy jego przesłuchaniu dowiedziano o wielkim skarbie gospodarza, zjechała komisya sądowa na miejsce, zabrała owe ruble i uwięziła także samego gospodarza, ażeby przeprowadzić z nim nowe śledztwo i wybadać, skąd wziął tyle pieniędzy; posądzono go bowiem, że je nabył w sposób nieprawy.

Co się stało z parobkiem, gospodarzem i jego rublami, nie wiem nic, gdyż od owego zdarzenia nie byłem w tem miasteczku; to jednak wiem, iż wówczas twierdzili powszechnie tak katolicy, jak i schyzmatycy, czyli prawosławni, że Pan Bóg wzbudził wyrzuty sumienia u parobka jedynie za sprawą św. Antoniego; a prawosławni nadto uwielbiali jeszcze religię katolicką dlatego, iż ma i czci takich cudotwórców, jakim jest św. Antoni Padewski.

Ta cześć prawosławnych dla religii katolickiej sprawia także to, że i prawosławny lud tamtejszy szanuje bardzo księży; sam bowiem słyszałem, jak twierdził pewien wyznawca prawosławia, że „ksiądz — to sługa Boży, a pop — to sługa carski".

W Złoczowie, dnia 2 lutego 1896.

Z. U.

KRONIKA.

Lwów 11 lutego.

Rada państwa zwołaną została na dzień 15go lutego.

Odznaczenia. Cesarz nadał profesorowi gimnazyum w Tarnowie Janowi Kornickiemu tytuł radzcy szkolnego, a starszemu nauczycielowi w Rymanowie, Piotrowi Burjakowi, srebrny krzyż zasługi z koroną.

Dyrektor zdrojowiska w Krynicy, radzca Zygmunt Sokołowski otrzymał przy sposobności przeniesienia go w stan spoczynku, złoty krzyż zasługi z koroną.

Konkursa. *Gazeta Lwowska* ogłasza konkursa na trzy posady radzców wyższego sądu krajowego we Lwowie. — Dyrekcya poczt ogłasza konkurs na posadę ekspedyenta w Suchodole z płacą 450 złr. — Magistrat w Jarosławiu na posadę oficyała policyi z pensyą 500 zł. rocznie.

Panoramę racławicką zaczęto już pakować w celu przewiezienia na wystawę peszteńską, gdzie budują na jej pomieszczenie gmach osobny. W zabudowaniu na wzgórzu stryjskiem będzie przez czas pobytu panoramy w Peszcie malować p. Styka swą Golgotę.

Wybory do rady miejskiej. Rozeszła się pogłoska, że możliwą jest rzeczą, iż w razie, gdyby uchwalona zmiana statutu miasta Lwowa otrzymała najwyższą sankcyę przed dniem 26 lutego, to rozpisane na ten dzień wybory do rady miejskiej zostaną wstrzymane, a to w tym celu, ażeby wybory mogły się odbyć już wedle zmienionego statutu. Owóż wczoraj udała się w tej sprawie do namiestnika ks Sanguszki deputacya mieszczańskiego komitetu wyborczego, złożona z pp. Ciechcińskiego, Niemczynowskiego, Getritza i Platowskiego z prośbą, aby wybory odbyły się na każdy sposób w dniu 26 bm., gdyż kadencya rady miejskiej skończyła się w dniu 26 stycznia, zatem właściwie już od dwóch tygodni powinien Lwów mieć nową radę. Zarazem złożyła ta deputacya na ręce ks. namiestnika memoryał do Ministerstwa spraw wewnętrznych, w którym wykazuje, że zmiana statutu została uchwaloną zbyt dorywczo, a niektóre jej postanowienia są szkodliwe dla miasta lub wręcz niewykonalne, zatem powinno się całą sprawę przekazać radzie miejskiej jeszcze raz do rozpatrzenia. Ks. namiestnik przyrzekł memoryał ten przesłać bezzwłocznie do Wiednia, zapewniał przytem, że dobro Lwowa leży mu bardzo na sercu i że teraz gdy sejm się skończył, użyje całego wolnego czasu na gruntowne obznajomienie się ze sprawami miejskiemi.

Onegdaj ukonstytuował się komitet „powszechny" pod przewodnictwem Dra Antoniego Kaliny. Komitet uchwalił program, pod którym agitacyę prowadzić będzie. Pomiędzy sprawami niecierpiącemi zwłoki stawia na pierwszem miejscu: asanacyę miasta, sprawę oświaty i wiążące się z nią polepszenie bytu nauczycieli, mianowicie zniesienie bezpłatnej praktyki nauczycielskiej. Dalej domaga się program zerwania z dotychczasowym systemem prowadzenia wielkich robót we własnym zarządzie; zaradzenia wygórowanej drożyźnie przez należytą aprowizacyą miasta; zwrócenia większej uwagi na czystość i oświetlenie ulic; przeprowadzenia niwelacyi całego obszaru miasta, od której zawisłą jest racyonalna kanalizacya; wypracowania planu zabudowania i regulacyi miasta; zwrócenia większej uwagi na przedmieścia; reorganizacyi zarządu lasów miejskich; otoczenia należytą opieką istniejących fundacyj filantropijnych i zakładania nowych. Wreszcie program podnosi iż ze względu na 10 milionową pożyczkę należy wybrać do Rady takich mężów, którzy fachowem swem wykształceniem lub pracą na polu życia publicznego i społecznego dają rękojmię, że będą dobrymi szafarzami grosza publicznego i sumiennymi pracownikami dla dobra miasta.

Władysław Barącz, znany artysta dramatyczny i były dyrektor teatru lwowskiego, został zaangażowany przez dyrekcyę teatru czerniowieckiego. Na pierwszy występ obrał sobie p. Barącz tytułową rolę w dramacie Brachvogla „Narcyz Rameau", która należy do najlepszych ról jego repertoaru.

Smutny wypadek. Radzca rachunkowy p. Ludwik Niżałowski wyszedłszy wczoraj wieczorem z kawiarni wiedeńskiej, tknięty został nagle atakiem apoplektycznym i padając obok latarni, uderzył głową o chodnik kamienny tak silnie, że doznał wstrząśnienia mózgu. Zaniesiono go do bramy jednej z pobliskich kamienic i zawezwano stacyę ratunkową. Stan p. Niżałowskiego jest beznadziejny.

Pożar zniszczył w Dźwiniaczce, pow. borszczowski, budynki gospodarskie, głównie stajnie dworskie z inwentarzem. Szkoda w wielkiej części ubezpieczona wynosi przeszło 22.000 zł.; przyczyną pożaru było pęknięcie lampy naftowej w stajni.

Samobójstwo i synobójstwo. Donoszą z Grudziądza: Ogrodnik Malewski, zamieszkały w wiosce Kleingerswalde, w Prusach Zachodnich, położywszy 8 letniego synka swego na pniu drzewa, odciął mu siekierą główkę, poczem sam odebrał sobie życie przez powieszenie.

Szantaże paryskie. Ów Polak wplątany w sprawę Lebaudy'ego, o którym daliśmy wczoraj notatkę, nazywa się właściwie Stanisław Szydłowski i był przez jakiś czas sekretarzem Cestiego. Obecnie aresztowano go i oskarżono o to, że dopuścił się kilkakrotnie mistyfikacyi władz, podstawiając na miejsce plwocin Lebaudy'ego plwociny jakiejś suchotnicy. Skonfrontowano Szydłowskiego z Cestim. Cesti dowodzi, że Szydłowski działał na własny rachunek i bez jego wiedzy; Szydłowski zaś kategorycznie twierdzi że co zrobił, zrobił jedynie na wyraźny rozkaz swojego pana.

Reduta na dochód wdów i sierót po literatach, urządzona przez Koło literacko-artystyczne, zapowiada się interesująco. Komitet nie szczędzi kosztów, aby urozmaicić zabawę. Krzesła i fotele będą przykryte podłogą, wskutek czego goście z lóż będą mogli wziąć żywszy udział w zabawie. Z programu reduty możemy wymienić chińską pantominę *chat noir*, do której tekst napisał jeden z najwybitniejszych humorystów naszych; kadryl *monstre*, odtańczony przez maski w kostyumach z najrozmaitszych epok; serenadę żydowską, wykonaną przez jedno z naszych towarzystw śpiewackich, rzecz nadzwyczaj zabawną i komiczną. Wstęp tylko za zaproszeniami.

Kto dotychczas nie otrzymał zaproszenia na redutę, która się odbędzie w sobotę 15 bm., zechce się zgłosić po nie wprost do Koła (gmach teatru hr. Skarbka) między g. 2 a 4 popołudniu i 6 a 10 wieczorem. Loża parterowa kosztuje 25 zł., a wstęp na salę 2 zł.

Zmarli. Franciszek hr. Dzieduszycki, prokurator państwa w Jaśle. Zmarły był synem znakomitego pisarza Maur. hr. Dzieduszyckiego i cieszył się ogólną sympatyą. — Józef Ditrich de Wichtloff, radzca dworu, kawaler orderu Leopolda i były prezydent sądu obwodowego w Samborze, przeżywszy lat 78, zmarł w Stryju. — Marya Niedzielska obywatelka z Uścia Zielonego, zmarła we Lwowie w 30 roku życia.

Stan powietrza. T. o 9 rano + 1° R, w poł. + 3° R. Bar. 774. Nieruchomy. Pochmurno.

Wyższość medycyny.

Profesor (z katedry). Tak, moi panowie! Nauka lekarska stoi dziś na najwyższym stopniu wiedzy empirycznej, jeżeli bowiem lekarz omyli się w dyagnozie, sekcya zawsze wykaże niezbicie, gdzie było źródło choroby...

Z teatru. Dziś we wtorek „Szczęście w zakątku", sztuka w 3 aktach Sudermana. Jutro we środę po raz drugi „Pan podprefekt" komedya w 3 aktach Gaudillot'a. We czwartek „Prorok", wielka opera w 5 aktach Mayerbeera.

Odpowiedź Redakcyi. *Wielebny ks. Feliks Sękiewicz w Rudniku.* Oprócz czasopisma *Rolnik*, wychodzącego we Lwowie, a będącego organem gal. Towarzystwa gospodarskiego, nie znamy w Galicyi żadnego tego rodzaju pisma, o jakie Wmu księdzu chodzi.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** „Pan podprefekt" 3 aktowa komedya mniej znanego, przynajmniej u nas, francuskiego autora L Gaudillot'a, którą wczoraj teatr lwowski wystawił po raz pierwszy, jest właściwie wesołą, typową francuską farsą według starego i zużytego szablonu napisaną, ale ujaskrawioną tak dalece sytuacyami dramatycznemi i kolizyami, że przeciętny widz zapomina, iż wszystko to już widział i śmieje się z tego, z czego już się śmiał dawniej. Autor w „Panu podprefekcie" bez ceremonii skorzystał z tuzina przynajmniej dawniejszych fars francuskich i ze sprytem pisarza scenicznego bardzo zręcznie to wszystko poszywał. Został się jednak jenerał, widocznie awansowany z majora w „Nitouche" tak samo więcej nogą, jak szablą wojujący. W małem mieście tedy jest na urzędzie młody podprefekt, zamożny z domu i protegowany przez wuja swego senatora. Pan podprefekt jest hulaka, posiada miłosne stosunki w Paryżu, do którego ciągle wyjeżdża, oczywiście ze szkodą służby rządowej, za co nawet dostaje admonicyę i zagrożony jest dymisyą. Ale popędy miłosne silniejsze są od poczucia obowiązków urzędnika i pan podprefekt cichaczem wyjeżdża do Paryża, do ładnej Simonetty, aktorki z jakiegoś teatru. Wyjeżdżając umawia się ze swoim zaufanym lokajem, aby nieobecność jego utrzymał w tajemnicy do dnia następnego, w którym powróci z Paryża. Lokaj oczywiście przyrzeka, a pan Jerzy, podprefekt, przyprawia sobie sztuczną brodę, aby go nie poznano na dworcu kolejowym i jedzie hulać do Paryża. Lokaj ot tak dla rozrywki przymierza urzędowy frak pana podprefekta przyniesiony właśnie od krawca i zadowolniony jest z siebie utrzymując, że mógłby być także podprefektem. W tem przyjeżdża jenerał na inspekcyę wojska i naturalnie przedewszystkiem udaje się do podprefekta, jako przedstawiciela rządu. Zastaje lokaja w mundurze podprefekta. Pomysłowy lokaj, nie widząc innego ratunku, gra przed jenerałem rolę podprefekta. Idzie mu to z początku chropowato, ale potem nabiera wprawy. Tymczasem druga bomba. Do Jerzego przyjeżdża z Paryża z przyjaciółką Simonetta, nie wiedząc o tem, że Jerzy do niej pojechał. Lokaj szybko porozumiewa się z jedną i z drugą panią: Simonetta więc udaje panią podprefektową, a przyjaciółka jej matkę. Z tego, rzecz prosta, wywiązuje się mnóstwo zabawnych kolizyi, zwłaszcza, że przyjeżdża wuj senator i że miejscowy komisarz policyi śledzi człowieka z brodą, którego podejrzywa o stosunek miłosny ze swoją żoną. Brodę taką, jak wiadomo, przyprawił sobie właśnie Jerzy, wracający cichaczem w nocy do domu, gdzie znowu nocujący z adjutantem jenerał łapie go, jako złodzieja, a później myśląc, że to kochanek pani podprefektowej, przeprasza go. Kolizye się piętrzą, podprefekt jest aresztowany przez swojego podwładnego komisarza, który go przy brodzie nie poznaje, potem pojedynkuje się, naturalnie za sceną, z redaktorem miejscowego dziennika, opisującym skandale podprefekta. Tym pojedynkiem ujmuje sobie rozgniewanego wuja senatora, jenerał także przebacza, nietyle ze względu na Jerzego, ile na ładne oczy Simonetty, do której palił cholewki, gdy myślał, że była podprefektową — i po wyjaśnieniu zasłona spada.

Rzecz ta musi być grana żywo, w tempie, jak można pośpieszniem, jeśli ma wzbudzać wesołość i nie pozwalać ani na chwilę widzowi zatrzymywać na czemkolwiek baczniejszej uwagi, bo połowa z tego, co się dzieje jest śmieszne, ale naciągnięte i wręcz nieprawdopodobne.

Wczorajsze przedstawienie, jako całość, ze względu właśnie na tę szybkość akcyi, posiadało pewne usterki, które niezawodnie zginą przy następnych przedstawieniach. Odegranie ról poszczególnych było bez zarzutu, więcej tylko ogólnej harmonii i werwy przydałoby się. Główniejsze role grali pp. Walewski, Kliszewski, Kwiecińska, Feldmann, Hierowski, Rybicka, Otrembowa i Gasiński.

Iks Ypsylon.

* **Kronika teatralna** W ostatniej kronice zapisaliśmy wszystkie premiery polskich utworów dramatycznych, jakie się w ostatnich czasach odbyły. Dziś musimy dodatkowo wspomnieć o dawniej wystawionej rzeczy Kazimierza Zalewskiego Jest nią „Piękny sen", fantazya dramatyczna w jednym akcie a trzech obrazach.

Przedstawił w niej autor poetę i aktora, służących sztuce z zapałem i ogniem młodzieńczym, pomimo nędzy, jaka im w oczy zagląda. A jednak nastąpiła w ich życiu chwila, gdy wyczerpani z sił nie mają odwagi do dalszej walki z obojętnością tłumu. Pełni zwątpienia upadli na duchu, obaj przyjaciele gotowi są sprzeniewierzyć się sztuce dla chleba, gotowi wyrzec się wszystkich swych rojeń, aby tylko módz żyć. Pod tem wrażeniem, przejmującem ich smutkiem, zasypiają na poddaszu, niepewni, co im przyniesie jutro: czy nowe ciernie i zawody, czy też uśmiech fortuny. I oto marzą we śnie, że się dostali do przybytku muz na Helikonie. Tu każda z dziewięciu sióstr Feba skarży się przed bratem na upadek i utylitarny kierunek nauki lub sztuki, której jest kapłanką; ludzkość zatraca swoje ideały, poetów zabrakło na ziemi. Jeden tylko z ziemi przedziera się aż na Olimp i Helikon chór głosów; woła on pożądliwie: „Bogi, dajcie złota!" Aż oto pojawia się para wędrowców; to poeta i aktor, którzy przybyli tu, aby zasięgnąć rady i nabrać otuchy do dalszej walki. Aktor przemawia do Apollina:

> Ach, proszę, błagam, i o bardzo wiele:
> Daj, Bóstwo słońca! daj scenę, na której
> Mógłbym artystą być; na której ludzi
> Grałbym dla ludzi, lecz nie manekinów,
> Nie lalki sztuczne! I daj mi publiczność,
> Coby rozumieć chciała, że choć teatr
> Szkołą być przestał, to cyrkiem nie jest,
> Ani jakową hecą. Wszakże godność
> Człowieka leży w szlachetnej rozrywce,
> Że gdy z za kulis, z nad paludamentów
> Błyśnie gdzieś lazur prawdziwego nieba,
> Jeśli z pod szychu i koron z papieru
> Prawda przemówi; jeżeli poezya
> Cierpień i nędzy odchyli zasłonę,
> To niech publiczność nie rzuca widowni,
> Mówiąc, że ckliwe to i niezabawne!
> Daj mi publiczność taką, panie, która
> Umie, chce myśleć, i co da się porwać,
> Rozśmieszyć wzruszyć; która da mi oklask,
> Gdy ja jej duszę dam.

Poeta prosi tylko bóstwo natchnienia aby otrzymał łaski Febusa znak widomy, gdy zwątpienie serce szarpać mu będzie. Apollo przyrzeka obudwom, że pociechą im spłynie na słońca promieniu. Sen się skończył. Budzą się dwaj młodzieńcy na poddaszu skostniali od zimna, z niezaspokojonym wczorajszym głodem. Szary świt mroźnego dnia zimy nasuwa im smutne myśli. Aż oto promień słońca zaświecił przez szyby soplami lodowymi obwisłe, słońce rozjaśniło poddasze, rozgrzało i piersi i serca młodzieńców. Bóg poezyi spełnił obietnicę, dodał im energii i siły wytrwania.

Na tem kończy się fantazya Zalewskiego, pełna zdrowych i trafnych myśli; napisana płynnym, potoczystym językiem, jest ona utworem barwniejszym od innych prac tego zdolnego pisarza, który czuł tu potrzebę urozmaicenia siły i kolorytu dykcyi. Autor tchnął w swą fantazyę ideę wyższości obowiązków obywatelskich nad najwznioślejsze pragnienia osobiste, a główną myśl wypowiedział szczerze i gorąco. Jako artysta, p. Zalewski jest w fantazyi swej po większej części symbolikiem, idealistą, szczególniej w postaci poety, który zbytnio nawet rozwiewa się w mgle eterycznej. Aktor jest postacią bardziej plastyczną, wykończoną wcale wielostronnie i tętniącą żywem uczuciem, zwłaszcza w chwili, gdy przysięga służyć wytrwale sztuce. Jednem słowem fantazya Zalewskiego posiada niewątpliwe zalety pięknej myśli i artystycznego powabu

Czy jednak nadaje się na scenę, to rzecz inna. „Sen" przeznaczony był jako prolog na uroczystość otwarcia teatru w Łodzi i jako taki odpowiedział najzupełniej swemu zadaniu. Zdaje nam się jednak, że ma większą wartość literacką niż sceniczną i większe wrażenie robić musi czytany, aniżeli widziany na scenie. To darmo, publiczność współczesna nie chce słuchać ze sceny choćby nie wiedzieć jak pięknym wierszem napisanych traktatów estetyczno-filozoficznych; woli akcyę żywą, więcej realną, pełną epizodów, choćby z bajki wziętych.

Że baśnie zyskują coraz większe prawo obywatelstwa na scenie, dowodem „Bajka o zaczarowanej królewnie, szklannej górze i gadającem zwierciadełku". Bajkę tę napisał p. Frenkiel, znany artysta dawniej lwowskiego, a obecnie warszawskiego teatru. Że p. Frenkiel dobrze piórem włada, o tem od dawna wiemy; szczególnie doskonale pisze on mowy i mówki przygodne, które w archaicznej formie języka tak naśladują podobne zabytki z siedmnastego wieku, że możnaby się pomylić i przyjąć je za żywcem ze zbioru imci pana Michała Kazanowskiego wycięte. Tą formą właśnie, ale bardzo dyskretnie użytą, sparafrazował utalentowany artysta starą baśń ludową, której nic nie dodał ani nie ujął z prostoty i fantazyi. Jest więc król, który pojął drugą żonę cudnej urody, ale czarnego charakteru Ta niegodna niewiasta miała lusterko gadające, które zawsze na jej pytanie odpowiadało, że jest najpiękniejszą na świecie. A tu nagle powraca do ojcowskiego zamku młoda córka króla z pierwszego małżeństwa; niedyskretne lusterko opowiada macosze, że królewna od niej piękniejsza. Trzeba ją zgładzić przez zawiść współzawodniczki nietylko o urodę, ale i o serce królewicza, który do młodej królewny przyjechał w konkury. Więc zaufaną czarownicę przyzywa wyrodna białogłowa ku pomocy. Ta wyprowadziła królewską dzieweczkę do lasu, by ją oddać na pożarcie dzikim zwierzętom; ale gdy w onej dzikiej gęstwinie nawet okrutni zbójcy nad nieszczęsną sierotą się ulitowali, taką szpilkę zaklętą wpięła panience we włosy, że biedna ofiara zasnęła aż do dnia, w którym znajdzie się ktoś, co tę szpilkę zobaczy i wyjmie. Zbójcy pochowali królewnę w szklannej trumnie i stróżowali nad jej ciałem, dopóki nie przyjechał królewicz, kochanie swoje z trumny wydobył i przeklętą szpilkę wypadkiem z włosów ukochanej wyrzucił. Wrócili wtedy młodzi razem na zamek królewski, gdzie król-ojciec, mszcząc się za krzywdę córki, drugą żonę wysłał na wygnanie, a czarownicę na śmierć skazał. Potem nastąpiły gody, na których byli i zbójcy, bo ich on król sprawiedliwy — za to, że dla królewny serce okazali — „gracyalistami na zamku uczynił".

Oto treść bajki, którą p. Frenkiel odczytał na scenie teatru warszawskiego. Ilustrowały ją żywe obrazy, przedstawiające plastycznie najważniejsze momenta łatniutkiego drobiazgu.

Ostatnią nowością teatru wielkiego w Warszawie jest „Mankiet", fraszka Edwarda Lubowskiego. We fraszce tej wszystko bezpretensyonalne: od pomysłu (mąż po dwuletniej pieszczocie żoninej przewinił, bo wśród kawalerskiej libacyi jakaś kolacyjna sąsiadka napisała mu na mankiecie swój adres) do wykonania. Mąż, śpiący przez kilka godzin, budzi się pijanym; a żona, srożąca się wobec pozorów zdrady i nagle przebaczająca winnemu, są to licencye farsy, które publiczność chętnie wybaczy sympatycznemu autorowi.

Nowo otwarty teatr w Łodzi wystawił sztukę Daniela Zglińskiego: „Mściciele." Treść jej jest następująca:

Redaktor Storch posiada w Wiedniu wielki dziennik, rozporządza dużymi kapitałami, a chociaż wyznaje zasadę, że cel uświęca środki, dobrze mu się z tem dzieje zarówno pod względem materyalnym jak i moralnym, dopóki prawda nie wyszła na wierzch, tj. dopóki Bank przemysłowy, instytucya niezbyt czysta, przez Storcha w dzienniku popierany, nie zawiesił wypłat Byłby jednak dał sobie radę z tą okolicznością, gdy go porzuca i przechodzi do innej gazety najlepszy współpracownik Lorm; ale na nieszczęście godzi weń cios, zadany ręką naturalnego syna Bolesława.

W pięknej pannie Lormównie kocha się młody Otton Storch, ale w niej zakochał się także Bolesław z lepszym dla siebie rezultatem; dziewczę zaślubia go chętnie, o czem dowiedziawszy się Otton, życie sobie odbiera. Rozpada się tedy za wejściem Bolesława do domu Storcha całe szczęście osobiste i rodzinne tego ostatniego, niszczy dobra opinia, opuszcza go najlepszy pracownik, wreszcie ginie syn najdroższy. Za lekkomyślny postępek młodości przychodzi kara i ona to jest mścicielem, o którym mówi autor w tytule i którego działanie odtwarza w akcyi. Jestto, zdaje się rzecz, bardzo słaba.

Stanisław hr. Rzewuski napisał nową sztukę, tym razem po rosyjsku. Jak donosi *Nowoje Wremia*, nosi ona tytuł „Siła miłości" i wystawioną będzie na wiosnę na scenie aleksandryjskiej w Petersburgu. W Paryżu teatr Ambigu wkrótce wystawi dramat hr. Rzewuskiego p. t. „Legenda o masce".

Przejdźmy teraz do teatrów obcych. W Wiedniu *Deutsches Volkstheater* wystawił Schönthana i Koppla komedyę, a raczej farsę: „Comtesse Guckerl". Treść jej krótka: *comtesse*, która jest wesołem, milutkiem stworzonkiem, — jak Wiedeńczyk by powiedział: *ein hertziges Schnackerl*, — podczas pobytu w Karlsbadzie kokietuje starego jenerała rosyjskiego, który tam dla kuracyi przyjechał, ale nie myśli wcale uszczęśliwić go swą osóbką, bo lepiej jej się podoba młody siostrzeniec, czy bratanek jenerała. Jenerał się oświadcza i dostaje kosza, bo *comtesse Guckerl* przyrzekła już pierwej swą rękę siostrzeńcowi i ostatecznie wychodzi za niego. Treść ani nowa, ani ciekawa, ale wesołe i dowcipne epizody bawią pysznie nie bardzo w tym kierunku wymagających Wiedeńczyków.

Drugą nowością *Volkstheatr*'u jest farsa Reulinga: *Der Mann im Schatten.* Mateusz Merkel, dawniej majster murarski, a obecnie *rentier* jest najbardziej charakterystycznym typem parweniusza. Pod względem umysłowym zero kompletne, potrafił jednak zająć wybitne stanowisko wśród swych współobywateli, mieszkańców większego prowincyonalnego miasta i odgrywa wcale znaczną rolę w życiu publicznem. Wszystkie sukcesa zawdzięcza swemu sekretarzowi, doktorowi filozofii, który mu pisał i układał mowy i toasty, jednem słowem kierował nim jak maryonetką. Dr. Fritz Bergmann — bo tak podobało się autorowi nazwać sekretarza, — jest jednym z tych ludzi, którzy całe swe życie pozostać muszą „w cieniu", nieznani i nieuznani, tylko na to egzystują, aby innym kamienie z drogi usuwać. Sekretarz p. Merkla znalazł sobie obok pisania mów i toastów inne poboczne zajęcie — zakochał się bowiem w córce swego szefa. Asesor Büchtling starający się o względy pięknej Gertrudy, córki Merkla, jest zazdrośny o młodego sekretarza i tak sprytnie umie Merklowi przedstawić niebezpieczeństwo zagrażające na wypadek, gdyby panna Gertruda odwzajemniała uczucia sekretarza, że ten daje dymisyę swej prawej ręce. Ale cóż: wkrótce przekonuje się Merkel, że bez swego sekretarza żyćby nie mógł. Oto przychodzą do niego deputowani towarzystwa rzemieślniczego z prośbą, aby zechciał zagaić obchód 50-letniej rocznicy istnienia towarzystwa uroczystą przemową. Merkel przyjmuje zaproszenie i obiecuje, że przemowę mieć będzie. Ale kto tę przemowę napisze? Kłopot i rozpacz straszna. Merkel za insynuacyą swej córki postanawia pogodzić się z swym dawnym sekretarzem. Fritz, po długim oporze ustępuje, godzi się z Merklem i pisze mowę. Musimy tu dodać, że Merkel jest najzaciętszym w świecie obrońcą kapitalizmu, chociaż w swych młodych latach, jako rzemieślnik był najzaciętszym socyalistą.

W trzecim akcie prowadzi nas autor na jubileuszowe zgromadzenie towarzystwa rzemieślniczego. Stawili się reprezentanci rządu, wielkiego przemysłu i kapitału. Sala zapełniona śmietanką prowincyonalnego towarzystwa, w cieniu ukrywa się garstka robotników. Merkel w strachu, bo sekretarz nie zjawia się z manuskryptem mowy. Nareszcie przychodzi; Merkel staje na trybunie i odczytuje swą mowę. Wrażenie olbrzymie, ale wręcz przeciwne temu, jakiego się mowca spodziewał. Robotnicy biją szalone oklaski, ale *gros* zgromadzenia jest oburzone i to okropnie oburzone. Hałas okrótny, skandal straszliwy. Mowa wypowiedziana przez Merkla była w najwyższym stopniu antikapitalistycznej i radykalnej treści Merkel skompromitowany, złamany jest kompletnie. Towarzystwa, których jest prezesem, dziękują mu za przewodnictwo i wypowiadają wotum nieufności, sfery w których dotąd rej wodził wyrzekają się go i nie chcą go znać. Wtem zjawia się sekretarz, przyjęty jak najgorzej. Ale Fritz przynosi z sobą ogromny pakiet radykalnych dzienników, wychwalających mówcę pod niebiosa za jego bohaterskie wystąpienie. Merkel przypominać sobie zaczyna okazane mu z rozmaitych stron objawy sympatyi i uznania za swą mowę i ostatecznie wmawia w siebie i innych, że całe swoje życie był najczerwieńszym radykałem, w czem go utwierdzają zjawiające się deputacye robotniczych i socyalistycznych stowarzyszeń, dziękujących mu za obronę ich tendencyi i przyłączenie się do ich partyi, Merkel wyobraża sobie, że jest już trybunem ludu a sekretarz usuwa się „w cień“ mówiąc: po co masa ma wiedzieć, jak małe kółeczka wprowadzają w ruch wielką maszynę. Rzecz jest w wysokim stopniu nieprawdopodobna, a w dodatku fortel stary i zużyty już niejednokrotnie.

Jeszcze jedną premierę *Volkstheatr*'u muszę zanotować. Jest to Roberta Bracco komedya: „Niewierna“. Właściwy tytuł jej powinien brzmieć: „Czy niewierna“, około tego pytania bowiem kręci się wszystko w tej sztuce. Hrabina, kobieta *fin de siècle*, szuka wciąż nowych wrażeń i za przykładem Bourgetowskich bohaterów i bohaterek bawi się w „samoanalizę“, więc myśli ciągle o sobie, a to ostatecznie rzecz wcale nudna. Flirtuje z nudów z poetą-donżuanem. Ten żartuje z jej cnoty, której ona nigdy na niebezpieczeństwo nie naraża, ale niechno spróbuje, niech wątpi do jaskini lwa, niech go odwiedzi, a wtedy zobaczymy. Hrabina z nudów i kaprysów bierze na kieł, przybywa do mieszkania poety i powiada: „Oto jestem, proszę mnie uwieść, tylko bez ceremonii, bierz się pan zaraz do dzieła“. Rzekomy lew zgłupiał, wpadł w liryzm, przegrał sprawę — aż tu mąż się zjawia. Lew chce hrabinę przez furtkę ocalić, ale za całusa, ona zaś sama męża przyzywa. Mąż mówi jej na ucho: „Zabiję panią“; ona odpowiada na ucho: „Dobrze, ale w domu, nie tutaj, proszę mnie odwieść“. Potem dwa miesiące żyją z sobą spokojnie na stopie konwencyonalnej, nie tykając wcale drażliwej sprawy. Hrabina każe nareszcie męża prosić do siebie: ten walczy z podejrzeniem, bo wprawdzie ona sama go do mieszkania poety wezwała, ale przecież tam była. Kiedy nareszcie mąż chce już zapomnieć, ona go odpycha i woła: „To jest podłość, masz przekonanie, żem cię zdradziła, a dajesz się uwieść przeze mnie, jakby przez kokotę“ — on tłumaczy, że zmusza się do ufania jej, choć bez dowodów. Ona mu rzuca dowody, listy, zapowiada ostatni dowód, że poeta przybędzie. Lew przybywa, mąż i żona ukrywają się sypialni, poeta sam zostaje w pokoju Z sypialni słychać śmiechy — oni z niego się śmieją; więc robi głupią minę, kładzie uszy po sobie, a kapelusz na głowę i odchodzi; koniec.

Jest w tem wszystkiem Ibsen, tylko bez mgły, za to włoska „frivolité“, igranie z sobą i z ludźmi, z jakiej racyi? z żadnej, ot z nudów i z kaprysu. Akcya wpada ciągle z krotochwili w dramat i na odwrót, ale dyalog jest wytworny, sceniczność żywa, dobre pole dla aktorów. Ani krytyki, ani moralisty sztuka zadowolnić nie może, ale bawić, nawet zająć, podniecić może. Publiczność ciągle się czegoś spodziewa, aż w końcu dopiero się rozczarowuje, w tem jest urok sztuki.

Teatr Rajmunda wystawił farsę Léona i Waldburga: „Wyścigi“. Jest to historya sporu pomiędzy dwoma tenorami, starym wykrzyczanym a młodym, rokującym świetne nadzieje. Do tego przyczepili autorowie parę wesołych epizodów z rzeczywistego turfu, wsadzili parę oryginalnych typów z świata turfowego i teatralnego, posypali to wszystko mnóstwem anegdot teatralnych i turfowych — no i farsa gotowa. Publiczność się śmieje a kasa pełna.

Drugą premierą tego teatru jest farsa karnawałowa: „Flotte Geister“. Żonkoś wybrał się na redutę, gdzie wpada w przeróżne komiczne sytuacye. Spotyka swą dawną miłość i flirtuje z nią zacięcie, co wywołuje wielkie oburzenie u zazdrosnego narzeczonego tej pani, piekarza z Serajewa w fezie na głowie, brutalnego jak baszybożuk. Wydobywszy się z tej sytuacyi wpada w drugą, jeszcze fatalniejszą; przyczepia się do młodej maski w stroju tyrolki, emabluje ją zacięcie i przyrzeka jej małżeństwo. Wskutek tego staje się przedmiotem prześladowania matki tej maski, która *coute que coute*, chce zostać jego teściową. Aby się wyratować, udaje się do komitetu urządzającego redutę, który daje mu kostyum arlekina, pod warunkiem, że do północy będzie bawić publiczność żartami i figlami, a po północy będzie pełnić funkcye kelnera w restauracyi. Gdy już objął urząd kelnera, musi jako taki nalewać szampana swej własnej kucharce. Ostatecznie jakiś drugi jegomość zostaje za niego obity i cała historya kończy się powrotem do domu ze strasznym *Katzenjammerem*. Jest to farsa pełna szalonego iście karnawałowego humoru i dowcipu.

„Berliński teatr“ w Berlinie wystawił czteroaktową sztukę pod tyt.: „Pan Cezar“. Jest to rzecz rzekomo osnuta na stosunkach szlachty polskiej w Poznańskiem. Bohaterem jest szlachcic polski Cezar Grawiński, człowiek bardzo rządny i oszczędny; antytezą jego jest brat Juliusz, który zawiązuje stosunek z krewną, bawiącą w domu brata, rudowłosą, zalotną Anastazyą i zaręcza się z nią. Tymczasem wybucha wojna z Austryą (r. 1866), Juliusz musi iść na wojnę i pozostawia narzeczoną pod opieką brata. Cezar, który już przedtem kochał Anastazyę, ale z miłości swej zrezygnował na rzecz brata, daje się uwieść zalotnicy powodowanej żądzą pochwycenia w swe sidła bogatszego z obu braci. Cezar ulega tem bardziej, że nadchodzi zmyślona wiadomość, iż Juliusz padł w bitwie. Ale Juliusz wraca, a na wieść o tem Cezar rozpacza i odtrąca od siebie swą kochankę. Anastazya chcąc się pozbyć Juliusza na zawsze, wywabia wracającego z wojny na moczary, aby się tam utopił. Ale w tych moczarach ginie Cezar, który pospieszył na ratunek bratu i w ten sposób dosięga go kara za wiarołomstwo. W tem dramidle, którego autorką jest jakaś pani Adela Weber, mówi się dużo o szlachcie, występują i chłopi, a oczywiście wszyscy Polacy knują ciągle spiski przeciw Niemcom. Kobietę polską określa autorka jako zbiór egoizmu, skrytości, niepohamowanych żądz, niebotycznej ambicyi, kapryśności i... niezwyciężonego uroku. Na szczęście wydał o naszej kobiecie inne świadectwo lepszy znawca ludzi — Bismark. A jednak *signum temporis* — dramidło takie ściąga do teatru tłumy.

Maks Halbe wystąpił z nowym utworem scenicznym w berlińskim „Teatrze niemieckim“ (Deutsches Theater). Jest to sztuka pt. „Zwrot w życiu“ (Lebenswende). Halbe usiłuje oswobodzić się z ciasnych więzów naturalizmu, w którym dla szerszych pomysłów swych nie znajduje już miejsca. Jego sztuka nie ma więc być krótkim obrazkiem z życia, ma to być w wielkich rozmiarach nakreślony całokształt życia. Lecz z próby tej zwycięzko wyjść nie zdołał: twórcza jego siła okazała się za małą w stosunku do wielkości zadania, jakie sobie zakreślił. Główna myśl utworu jest następująca: Człowiek może drogą cierpień osiągnąć jednolity, dojrzały pogląd na świat, może dojść do pewnego stałego w życiu celu, jeśli w chwili ważnego dlań przełomu, który autor nazywa punktem zwrotnym, kiedy w młodzieńcu umierają owe marzenia tęskne i pierzcha czar wiosny, a prawdziwe, surowe rozpoczyna się życie — jeśli w chwili tej, znajdzie dość energii i siły w swych piersiach. W domu trzydziestoletniej panny Olgi Hensel, w Berlinie, spotykamy ludzi stojących u wrót owej ważnej epoki w ich życiu. Widzimy tu studenta Eberta, hulakę, postać niezwykle humorystyczną. Jest to człowiek, który nic w życiu wykonać nie może. To odnajduje w sobie talent poetycki, to znowu marzy o namiętnej miłości, którąby go uszlachetnić potrafiła. W swej donkiszoteryi wyszukuje też sobie Dulcineę, małą wyrachowaną gąskę, która w celu złowienia sobie męża, przybyła do Berlina. Zupełnem przeciwieństwem Eberta, jest technik Weiland, człowiek czynu Zrobił on w zakresie odlewania gipsu wielki wynalazek, wierzy w jego zastósowanie, lecz dla wykonania planów niezbędny mu jest wielki kapitał. Niegdyś marzył o wielkiej karyerze artystycznej, lecz nie mając środków — stał się człowiekiem praktycznym. Ta wiara w siebie i męska prawdziwie siła — wzbudza w Oldze uwielbienie. Czuje ona w sobie budzącą się miłość, która wkrótce zupełnie ją opanowuje. Oszołomiona tem uczuciem, spotęgowanem jeszcze obawą, przed grożącą jej w życiu samotnością — oświadcza się Weilandowi — który jednakże ją odtrąca. Chce on, nie krępowany żadnymi więzami, w całej swej sile, zmierzać do celu, jaki sobie zakreślił. Tu następuje zwrot niespodziany: sztuka zatraca swą siłę poprzednią: ludzie stają się jakby alegorycznymi obrazami, pozbawionymi życia. Utwór przedstawiający z początku kawał pełnego życia — kończy się jak bajka...

Widzimy piec, służący do odlewania, a obok niego Weilanda, wyczekującego niecierpliwie ukazania się odlewu, według nowego planu. Olga, pałająca dlań niezmierną miłością, postanawia poświęcić się i zamierza oddać rękę swą pewnemu właścicielowi domu, w zamiarze dostarczania swemu ukochanemu niezbędnych mu pieniędzy. Weiland dowiedziawszy się o tem, bardzo jest wzruszony i zawstydzony. Lecz oto następuje przełom w życiu jego: teraz dojrzewa zupełnie jego umysł, a i Olga pozbywa się owych ostatnich złudzeń młodocianych i zadawalnia się szczęściem w zaciszu Odlew Weilanda udaje się, stąd nowy bodziec do dalszej pracy; jakby na zawołanie zjawia się i pożądany kapitalista i wszystko jak najlepiej na przyszłość się zapowiada. Tylko Ebert pozostaje nadal tym samym niepoprawnym marzycielem, nie mogącym nigdy zrozumieć rzeczywistości. Takiem jest niezręczne zakończenie tej z początku dobrze zapowiadającej się sztuki.

Na tem dla braku miejsca kończyć musimy dzisiejszą kronikę, pozostawiając do następnej, wiadomość o innych premierach berlińskich i paryskich.

Elegantka, jakich mało.

Ze wszystkich elegantek, jakie pamiętam z czasów mojej młodości, największe wywierała wrażenie hrabina Anatolowa ***.

Była to Francuska, córa ludu, podobno córka praczki paryskiej. Jaką drogą dorobiła się korony hrabiowskiej — zadługo byłoby o tem mówić, dość, że wdziękami królowała w ówczesnej Warszawie, a wykwintem, bardziej jeszcze niż pięknością, czarowała każdego, kto ją spotkał na swej drodze. Zbytnica to była okrutna. Gdy raz, z powodu zepsucia się karety na ulicy, musiała wsiąść do dorożki, zemdlała w wehikule, w którym, jak mówiła, przed chwilą m że kogo odwożono do szpitala.

W święta i niedziele miłośnicy dobrej muzyki cisnęli się do kościółka Pijarów, około zaś południa wykwintna sfera Warszawy zbierała się w kościele oo. Kapucynów przy ulicy Miodowej. Zjawiała się tam także hrabina Anatolowa w przepysznej karecie, ofiarowanej jej przez księcia Palffy, magnata węgierskiego. Było to cacko, wyglądające jak łupinka przy zaprzęgu, złożonym z dwóch słoniów-meklemburgów, sprowadzonych z rozkazu hrabiny przez bankiera Steinkellera z Londynu za 1.000 funtów szterlingów. Za ekwipażem hrabiny Athenais (takie było jej imię) dążył sztab, złożony z dorodnej młodzieży złotej, samych admiratorów pięknej pani. Sztab jechał konno. Był tu i książę Durue, na pysznym rumaku wschodnim, w zielonej aksamitnej ferezyi z sobolami i hrabia Roger, oryginał nad oryginałami, na wielkiej ceny czystej krwi koniu angielskim, w stroju „country“ gentlemanów angielskich, w ciepłej bajowej lisiurze z guzikami złotemi, w kamaszach z żółtej skóry ze sprzączkami powyżej kolan, w jedwabnym, pomimo mrozu, cylindrze; i baron Artur W., postać sztywna, marsowa, z ogromnemi wąsami, dochodzącemi do ramion, na ognistym, jak śnieg białym, arabczyku, przybranym w rząd wschodni, zdobny w półksiężyc srebrny, chwast niebieski i jajo strusie.

Do tego zwykłego konwoju hrabiny, łączyli się niekiedy inni, przygodni admiratorowie Czasami zjawiał się słynny z urody, piękny jak Antinous, adjutant, z panaszem z żółtych, czarnych i białych piór na stosowanym kapeluszu; czasami próbował tu szczęścia jakiś oficer, ułan z białą kitą ze srebrnym pomponem.

Miała więc czemu przypatrywać się gawiedź uliczna. Tłumy rozstępowały się przed idącą. Jeżeli pośliznęła się na schodach, dwadzieścia rąk dążyło jej z pomocą; jeżeli upuściła chustkę lub rękawiczkę, tłum rzucał się i podnosił ją skwapliwie.

Kiedyś zwarty tłum przypatrywał się wychodzącym z kościoła. Deszcz padał ulewny. Na schodach ukazała się wreszcie piękna hrabina. Chciała się dostać do karety, ale nie mogła, bo między mostkami stały kałuże, a stopki elegantki, obute w białe buciki atłasowe, nie miały ochoty zetknąć się z błotem. W tem wysuwa się z tłumu jakiś elegant i proponuje, aby piękna pani śmiało stanęła na jego szerokiej dłoni, a on ją bez szwanku do karety przeniesie. Roześmiała się hrabina Anatolowa na taką propozycyę i już, już miała przez kałużę przeskoczyć, gdy oto elegant zrywa płaszcz z ramion i rzuca go pod jej stopy, tak, iż suchą nogą przeszła po płaszczu do karety. A płaszcz to był kosztowny, jak nosili ówcześni bogaci dandysi: z błękitnej sajety aksamitem amarantowym podbity, z pasmanteryą złotem przetykaną. Eleganta, jak się potem dowiedziałem, nazywano lordem Byronem, a był to hr. P.

O podobnych czynach galanteryi dla pięknej elegantki, mówiono wciąż na mieście: ten zatrzymał z niebezpieczeństwem dla swego życia konie rozbiegane, a ów, widząc ją na ślizgawce tupiącą na mrozie zziębłemi nóżkami, rzucił jej pod nogi własne futro — a sam wrócił do domu we fraczku. Ot, szaleli ludziska...

Pani Anatolowa nie szukała wzorów do tualet w żurnalach, ani też nie radziła się nigdy krawca ani modniarki. Sama tworzyła mody, nadawała ton, a miała w tem tyle smaku, taktu, praktycznego rozsądku, że naśladowano ją we wszystkiem.

— Kobieta — mawiała piękna Athenais — powinna ubierać się w to, co zakrywa jej wady wrodzone i niedokładności, a podnosi wrodzone powaby i wdzięk kobiecy uwydatnia. Ten sam kapelusz zrobi pięknością wysmukłą brunetkę, a karykaturą przysadkowatą blondynkę. Najdroższy kapelusz z Paryża może kobietę oszpecić; a najtańszy z ulicy Freta ozdobi. Jesteście gąski, gdy naśladujecie Paryżanki, ubierające się po swojemu w klimacie właściwym. U was tu siedem miesięcy zimy, pięć zimna, a dwa afrykańskich upałów. Żałuję, doprawdy, że ten wasz Lech nie osadził was w przyjemniejszej temperaturze, a tyle wówczas było miejsca do wybrania!

To też wprowadzała najrozmaitsze inowacye do klimatu naszego zastosowane, do których trwożliwie przyzwyczajały się elegantki ówczesne, mówiąc, że „to nie po parysku“. Z tego braku samodzielności szydziła nielitościwie pani Athenais.

— Paryżanki — mówiła — umieją się ubierać, bo ubierają się po swojemu. Nie noszą one bransolet na nogach, jak w Bengalu, ale mają swoje mody, zdrowe, wygodne i do twarzy.

O ile słyszałem od starszych niewiast, pani Anatolowa właśnie wprowadziła u nas w życie *Capuchon brabançon*, czyli kaptur pikowany, futrem obszyty. Prześlicznie jej w tem było i wygodnie; zwłaszcza, gdy futerko było białe, urocza ta brunetka zwracała na siebie wszystkie oczy. Tymczasem elegantki warszawskie marzły na mrozie i dostawały fluksyi, bo jeszcze żaden „Magazyn mód“ nie ogłosił, że w cieplejszym Paryżu elegantki to nosiły. Kiedyś hrabina Anatolowa bawiła na wsi u hr. Rz. i zobaczyła na portrecie jakiejś prababki futrzaną polonezę. Natychmiast kazała sobie z najbliższego miasteczka przywieść żydka, który pod kierunkiem hrabiny wygotował taką samą polonezę, robiącą później w Warszawie *furore*. Zawsze mawiała, że ubranie chłopek naszych jest niezwykle malownicze, zawsze dziwiła się, dlaczego panie nasze, zamiast brać modele strojów cudacznych z żurnalów lipskich lub wrocławskich, nie szukają pomysłów w kostyumach ludowych kobiet wiejskich, dążących np. do kościoła. Może i miała pod tym względem racyę...

O jednym z fantazyjnych kostyumów hrabiny rozprawiano długo w całej Warszawie. Książę Lolo (jak nazywano w ówczesnem towarzystwie ordynata Z.) urządził wielkie polowanie w lasach nieporęckich. Poruszono projekt, aby i damy w łowach uczestniczyły, ale rzecz nie przyszła do skutku, bo ówczesne piękności bały się strzelby, jak ognia, a na widok zamordowanego zająca byłyby się popłakały. Jedna tylko hrabina Athenais, dobrawszy do swego towarzystwa kilka trzpiotek w swoim rodzaju, najechała niespodziewanie szlichtadą grono biwakujących przy śniadaniu myśliwych, a uchylając futrzanej kapicy, z której tylko koniec noska było jej widać, wołała:

— Samojedki przyjechały zobaczyć, czy macie dla nich dość ponczu ananasowego na rozgrzanie!

Hrabina skombinowała kostyum następujący: buty po za kolana z białych jagniąt, szuba, krojem lapońskim, z lugduńskiego atłasu barwy papuziej, podbita niedźwiadkami tak lekkiemi, iż całość niespełna pięć funtów ważyła. Uroczo wyglądała w tem wszystkiem piękna elegantka, ale też potulny mąż, z którym rozwiodła się nieco później, musiał za to samojedztwo trzy tysiące rubli kuśnierzowi zapłacić.

Hrabina miała misterną nóżkę tak piękną i kształtną, że, jak mówiono, mistrz Canova brał ją za model do swego pomnika księżnej Borghese w Rzymie. Ale też i starań koło tych nóżek było co niemiara. Co pewien czas przyjeżdżał aż z Paryża „pedicure“, który masażował, piłował, perfumował. Z nastaniem dni ciepłych hrabina Anatolowa, na co pozwalała ówczesna mowa, ukazywała się w płytkich trzewiczkach atłasowych z bandażami, w subtelnych pończoszkach ażurowych, niby z koronki, krepy lub tiulu zrobionych.

W ogóle cała elegancya tej pani polegała nie na „strojeniu się“, nie na kosztownych materyach ani klejnotach, które rzadko nosiła, chyba pamiątkowe, ale jedynie na guście, smaku, zręczności kroju, umiejętności zastosowania tualety do barwy oczów, włosów, odcienia płci. Pani Mole, modniarka, która ubierała cały ówczesny „świat“ warszawski, miała z nią stały kłopot, bo zarzucała ją coraz to ekscentryczniejszemi obstalunkami. Co tydzień przygotowywano w pracowni pani Mole dla hrabiny Anatolowej świeżą halkę, morową, karbowaną, obszytą szenelką niebieską u dołu. Hrabina kosmetyków nie używała prawie nigdy, z pachnideł zaś oddawała pierwszeństwo ambrze londyńskiej i wodzie kolońskiej. Codziennie jednak brała kąpiel naprzód cytrynową, a potem irisową, zwłaszcza w latach późniejszych, gdy trzeba było przekwitające wdzięki podtrzymywać.

Hrabina miała na swoje rozkazy wszystkich mężczyzn z ówczesnego towarzystwa warszawskiego. A fantazye miała nielada! Kiedyś po rękawiczki dla niej do Paryża pojechał hr. Bernard P., słynny sportsman, nieraz już poprzednio odbywający wycieczki konne po Europie. Podobnie wysłany przez nią konno do Kolonii po oryginalną wódkę Jana Marji Faryny jeden z książąt Cz. wysiedział się w kozie po drodze, koń bowiem złamał nogę, a gdy szukał po wioskach okolicznych jakiego takiego rumaka, aby dążyć dalej, Prusacy, podejrzywając go o szpiegostwo, wsadzili go do fortecy, której komendant wierzyć nie chciał, aby człowiek przy zdrowych zmysłach jechał sto mil konno po flaszkę wódki kolońskiej.

Kobiety za to nienawidziły jej, i słusznie, bo córka praczki paryskiej nie odznaczała się znajomością form towarzyskich. Przy stole, w razie jakiegokolwiek zapomnienia się, mężczyźni brali od niej po łbie karafką. Serca też dla nikogo nie okazywała nigdy, a niekiedy umiała być wprost okrutną. Dla kobiet nie miała litości. Nazywała ówczesne elegantki warszawskie „brudasami“ i wobec mężczyzn zdradzała tajemnice ich tualetowe. Koniec jej, jak wszystkich takich kobiet, był bardzo smutny.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 11 lutego. Cesarz wrócił z Wels wczoraj wieczorem.

Arcyksiążę Leopold-Ferdynand wyleczył się z odry i wyjechał z powrotem do Berna gdzie pułk jego załoguje.

Berno 11 lutego. Sejm morawski został zamknięty.

Praga 11 lutego. Podczas ogólnej dyskusyi nad budżetem krajowym zabrał głos deputowany Baxa, członek stronnictwa omladiny i uderzył gwałtownie na szlachtę czeską, na stronnictwo niemiecko-liberalne i na namiestnika. Gdy mówca wyraził się obrażająco o dynastyi i austryackim patryotyzmie, powstało w sejmie takie oburzenie i głośne protesty, iż mu przerwano. Po kilku bezskutecznych napomnieniach ze strony marszałka, został mówca przywołany do porządku, co izba przyjęła hucznymi oklaskami.

Hr. Buquoy w imieniu szlachty i Schlesinger w imieniu stronnictwa liberalnego, dali wyraz swemu oburzeniu z powodu mowy dep. Baxy, jakiej nigdy w sejmie czeskim nie wygłoszono. Wśród oklasków całej izby, zaznaczają mówcy, iż naród czeski jest patryotycznym i wiernie stoi przy dynastyi. Obydwaj mówcy chwalą działalność ustępującego namiestnika, który swój urząd sprawował z zaparciem się siebie dla dobra i pomyślności kraju. (Żywe oklaski na ławach szlachty i niemieckich liberałów, — protesty u młodoczechów).

Dep. Schlesinger poddaje krytyce zachowanie się młodoczechów, którzy głównie przyczynili się do tego, że sejm ma wygląd obozów walczących ze sobą. Kończy swą mowę zapewnieniem, że Niemcy pozostaną zawsze dobrymi Austryakami. (Na ławach niemieckich: „Jak zawsze, zawsze!“)

Posiedzenie przerwano i odroczono na dzisiaj.

Praga 11 lutego. W Winnikach (Weinberg) pod Pragą odbyło się zebranie robotników pozostających bez zajęcia, w którem wzięło udział dwa tysiące osób. Zgromadzeni następnie w zwartych masach przechodzili ulicami. Policya ich rozproszyła, przyczem trzy osoby za opór stawiany policyi aresztowano.

Madryt 11 lutego. Nad miastem eksplodował wczoraj przed południem meteor. Skutkiem gwałtownej detonacyi zapadły się mury kilku domów i w wielu oknach popękały szyby. W mieście powstała ogólna panika, w pewnej fabryce tytoniu załamały się schody pod ciężarem uciekających robotników, przyczem 17 robotników zostało pokaleczonych.

Peszt 11 lutego. W Sejmie węgierskim postawił dep. Apponyi wniosek, aby w sprawie znanych oszustw, popełnionych przez Pulszky'ego z okazyi zakupna obrazów do narodowej galeryi, wysadzono z łona parlamentu komisyę śledczą, którąby sprawę tę wyjaśniła. Prezes gabinetu Banffy i minister oświaty Wlassics oświadczyli się przeciw wnioskowi, zaręczając, że rząd w sprawie tej zarządził surowe śledztwo i którego rezultat już Izbie zakomunikował. Dalszy ciąg debaty jutro. (Według tego rezultatu Pulszky nie dopuścił się żadnego nadużycia. *Przyp. Red*).

Belgrad 11 lutego. Na wczorajszem posiedzeniu skupczyny przeczytano ukaz królewski, upoważniający obecny gabinet do przedłożenia projektu rewizyi konstytucyi.

Sofia 11 lutego. Otrzymano tutaj wiadomość, że jenerał Kutuzow, któremu w podróży towarzyszy liczna świta, spotka się w Wiedniu z radcą legacyjnym Carykowem, przyszłym agentem dyplomatycznym rosyjskim w Sofii i razem z nim przybędzie do stolicy Bułgaryi. Carykow już w Sofii na stałe zostanie.

Konstantynopol 11 lutego. Egzarcha bułgarski wyjechał do Sofii. Stoiłow otrzymał od sułtana przy pożegnaniu dar dla księcia: obraz olejny. Sułtan wyszle do Sofii na ceremonię chrztu Borysa jako swych delegatów jenerała dywizyi Musefera baszę i Kostakę Karatcodorisa.

Wiedeń 11 lutego. *Fremdenblatt* oświadcza, iż o tem, jakoby w rokowaniach co do ugody austro-węgierskiej napotkano na pewne przeszkody, o czem dzienniki peszteńskie donoszą, nic w kołach decydujących nie wiadomo. Przeciwnie, dalsze rokowania toczą się bez przerwy pisemnie.

Wiedeń 11 lutego. *Presse* zaprzecza doniesieniu kilku pism, jakoby niektóre sejmy miały być tylko odroczone, nie zamknięte. Według *Presse* tegoroczna sesya wszystkich sejmów austryackich zostanie zamknięta.

Linc 11 lutego. Sejm górno-austryacki odrzucił wniosek, aby wyrażono ubolewanie z powodu rozporządzenia krajowej Rady szkolnej, wrzekomo naruszającego konstytucyą zagwarantowane prawa nauczycieli i żądano cofnięcia tego rozporządzenia.

W toku debaty rzekł namiestnik, że rozporządzenie to nie zawiera nic, coby się sprzeciwiało ustawom zasadniczym i jest tylko dla nauczycieli upomnieniem, aby w życiu politycznem zachowali pewne granice.

P. Beuerle zapytał, czy w obec tego reskryptu mogą nauczyciele np. podpisać odezwę wyborczą stronnictwa antysemickiego, a na to odpowiedział namiestnik, że nauczyciele powinni o tem pamiętać, iż antysemityzm nie da się pogodzić z ustawami zasadniczemi. Zresztą życzeniem rządu jest, aby nauczyciele nie brali udziału w agitacyach politycznych.

Peszt 11 lutego. *Pester Lloyd* w długim artykule omawia ostatnie zajścia w Bułgaryi i oświadcza, że zarówno ci nie mają racyi, którzy na wdrożoną akcyę pogodzenia Rosyi z Bułgaryą zapatrują się jako na wypadek lokalny, jak i ci, którzy sądzą, że z Bułgaryą odtąd liczyć się trzeba tylko jako z rosyjskim etapem na drodze do Konstantynopola.

Ten stan, jaki panował ostatnimi czasy, to jest gniewnego zobojętnienia między Rosyą a Bułgaryą, nie mógł długo się utrzymać, a ludzie rozsądni musieli nie tylko przewidywać zmianę tego stanu, ale nawet pragnąć zmiany i to zmiany, wywołanej nie gwałtownymi środkami, ale wyrównaniem zachodzących kontrastów. Sam hr. Kalnoky wskazywał Bułgarom, że dobrą byłoby dla nich rzeczą przywrócenie lepszych stosunków z Rosyą, a hr. Gołuchowski w sposób na pół urzędowy dał im do poznania, że przywrócenie normalnego stosunku między Rosyą a Bułgaryą nie sprzeciwia się interesom Austro-Węgier. Co prawda, przez długi czas uchodziło za rzecz wręcz niemożliwą, aby książę Ferdynand mógł w tym celu wybrać taki sposób postępowania, któryby mu osobiście dawał godniejsze wyjście, aniżeli wybór między sprzecznemi ze sobą zaklęciami i ślubami. Zachodni sposób myślenia rzuca gruby cień na takie postępowanie, a tego cienia nie rozjaśnią dytyramby księcia o zorzy porannej Wschodu.

Ten sąd o osobie księcia nie może jednak zaszkodzić sympatyom Austro-Węgier dla Bułgaryi. Na te sympatye mogą Bułgarzy liczyć, jeżeli tylko ich mężowie stanu będą na tyle rozumni i patryotyczni, iż pogodzenia się nie posuną aż do zupełnego zdania się na łaskę i niełaskę. Austro-Węgry nadal trzymać się będą tej zasady, iż swobodny, z naturalnego biegu rzeczy wypływający rozwój krajów bałkańskich najlepiej odpowiada pokojowi europejskiemu i równowadze Europy.

Na tem stanowisku muszą spotkać się wszystkie mocarstwa, uznające, że utrzymanie *status quo* na Wschodzie jest dziś bardziej potrzebne, niż kiedykolwiek. Każde wykroczenie po za ten *status quo* musiałoby nietylko Austro-Węgry, ale także inne mocarstwa, podpisane na traktacie berlińskim, napełnić nieufnością i obawą o pokój, a tem samem wywołałoby opór i protest.

NADESŁANE.

RUCH POCIĄGÓW KOLEJOWYCH
obowiązujący z dniem 1 maja 1895 (czas środk.-europejski).

Do Lwowa przychodzą:	pospieszne			osobowe			
Z Berlina	1·22	5·10	—	7·00	9·06	9.00	
Z Krakowa (Wrocławia i Wiednia	1·22	8·40	5·10	7·00	9·06	9·00	
Z Warszawy	5·10	—	—	—	9·06	9·00	
Z Muszyny-Krynicy przez Tarnów od 1 czerwca do 30 września	—	—				9·00	
Z Muszyny-Krynicy przez Tarnów lub Rzeszów (od 25 czerwca do 15 września)	5·10	—					
Z Muszyny Krynicy i Mszany d. przez Tarnów	—	—			9·06		
Z Chabówki przez Tarnów lub Rzeszów	5·10	1·22					
Z Rozwadowa i Nadbrzezia	—	—	—	7·00			
Z Rawy przez Jarosław	—	1·22	—	—	9·06		
Z Mezö-Laborcz, Pesztu, Miskolcza przez Przemyśl	—	—				9·00	
Z Chabówki przez Przemyśl	—	1·22	—			—	
Z N. Zagórza p. Przem.	—	1·22				9·00	
Z Chyrowa p. Przemyśl	—	1·22		7·00		9·00	
Z Ławocznego, Pesztu, Miskolcza, Munkacza	—			12·05	8·10	—	
Z Hrebenowa, od 10go lipca do 31-go sierpnia				—	—	1·42	
Ze Skolego i Stryja	—			12·05	8·10	1·42	9·16
Z Chyrowa i Stanisławowa przez Stryj	—			12·05	8·10	1·42	
Z Suczawy, Husiatyna, Woronienki, Peczeniżyna, Berhomethu, Czudyna, Radowiec, Kimpolungu, Bukar. i Jass	9·50			—			
Z Suczawy, Czortkowa, Woron., Kałusza, Słob. rung., Bukaresztu i Jass	—			1.32			
Z Suczawy, Radowiec, Berh. i Czudyna (każd. poniedziałku), Sopowa	—			6·17			
Z Suczawy, Husiatyna, Kałusza, Nowosielicy, Radowiec, Kimpolungu, Jass i Bukaresztu	—			7·37			
Z Sokala i Jarosławia przez Rawę ruską	—			8·00	4·40		
Z Bełzca	—			—	4·40		
Z Podwołoczysk i Brodów na dw. Podzamcze	2·09	9·44		8·02	4·38		
Z Podwołoczysk i Brodów na dworz. główny	9·21	10·—		3·25	5·00		
Z Brzuchowic od 12 maja do 10 września						8·25	
Z Zimnej wody co święta i niedziel aż do odw.	[illegible]					8·15	
Z Janowa				1·18	1·09	6·07	
Ze Lwowa odchodzą do:							
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina	8·40	2·50	11·00	4·55	10·25	6·45	
Warszawy			11·00	4·55	—	6·45	
Muszyny-Krynicy przez Tarnów tylko od 1-go czerwca do 30 września						6·45	
Musz.-Kr. przez Tarnów	8.40		11·00	4·55			
Chabówki przez Tarnów			11·00				
Musz. Kr. przez Rzeszów			11·00				
Chabówki przez Rzeszów			11·00		10·25		
Rozwadowa i Nadbrzezia	8·40	—	11·00	4·55			
Rawy r. przez Jarosław		2·50	—	4.55			
Mezö-Laborcz (Pesztu, Misk.) przez Przemyśl				4·55	6·45		
N. Zagórza przez Przem.				4·55	10·25	6·45	
Chabówki prz. Przemyśl				—	10·25		
Chyrowa przez Przemyśl		2·50		4·55	10·25	6·45	
Ławocznego, Munkacza, Miskolcza, Pesztu				5·25	7·38		
Hrebenowa tylko od 10 lipca do 31 sierpnia				—	9·33		
Skolego i Stryja				5·25	9·33	3·00	7·38
Stanisławowa i Chyrowa przez Stryj				—	9·33	7·38	
Chyrowa przez Stryj				5·25	—	—	
Suczawy, Jass, Bukaresztu, Husiatyna, Woronienki, Peczeniżyna, Berhometu, Czudyna, Radowiec, Kimpolunga	6·15						
Suczawy, Słobody rung., Czudyna i Berhomethu co poniedz., Radowiec					10·55		
Suczawy, Jass, Bukar., Czortkowa, Kałusza, Woronienki, Kimpol.					2·40		
Suczawy, Jass, Bukar., Husiatyna, Kałusza, Nowosielicy, Radowiec					10·30		
Sokala i Jarosławia przez Rawę ruskę				9·15	7·10		
Bełzca				9·15	—		
Podw. i Brodów z Podz.	—	2·10	6·00	—	10·14	10·41	
Podw. i Brodów z gł. dw.	—	1·56	5·46	—	9.50	10·20	
Brzuchowic od 12/5—10 września w dni powsz.						3·20	
Brzuchowic od 12/5—10/9 w niedzielę i święta						2·26	
Zimn. wody od 12/5—10/9						3·45	
Do Janowa				9.35	4·08	8·46	

87)

MAFFIA

POWIEŚĆ

przez

G. Le Faure'a

(Tłumaczenie baronowej Zofii Hartinghowej).

(Ciąg dalszy).

Ten, który pierwszy wzniecił podejrzenie i do którego się zwracały niezbyt uspokajające oświadczenia, odezwał się pojednawczym tonem:

— Aleś, zacny marynarzu, źle zrozumiałeś moje słowa. Daleką była ode mnie myśl nasunięcia jakichś... hm!... jakichś podejrzeń co do twojej osoby. Nie zdaje mi się jednak, abym w czemkolwiek uchybił względom należnym dzielnemu majtkowi państwowemu, dowodząc, że jeżeli nastraszyłeś kochanego pana Cobsona, obowiązkiem twoim było uspokoić go.

Wszyscy zaczęli mu potakiwać, a majtek, ułagodzony, spuścił rękawy od koszuli, co oznaczało z jego strony pokojowe usposobienie.

— To ma znaczyć?... — zapytał.

— Że winien jesteś ofiarować panu Cobsonowi pomoc i opiekę przeciw urojonemu niebezpieczeństwu, którem mu zagroziłeś.

Gdy mówił, majtek mrugał oczyma na fabrykanta i spostrzegł, że ten wciąż wystraszone i błagalne spojrzenia kierował ku niemu. Oświadczył więc dobrodusznym tonem:

— Ha! jeżeli obywatel zechce przyjąć moje warunki.. to zobaczymy!

Pan Cobson wydał okrzyk radości, i odzyskawszy naraz całą sprężystość, rzucił się ku swojemu wybawcy.

— Przyjmuję!... przyjmuję!... — zawołał.

Mały Bob uśmiechnął się.

— Otóż nie odstąpię pana do jutra rana... a za to zapłacisz mi dwa dolary.

— Cztery!... — zawołał fabrykant w wybuchu wdzięczności.

Majtek skinął głową.

— Niech będzie cztery... Przytem musisz mieć gdzieś u siebie w zapasie dobre whisky, ojcze Cobsonie?

— Moje whisky słynie z dobroci w całej dzielnicy.

— W takim razie cztery dolary jutro rano i whisky przez noc, ile zechcę, żeby mnie sen nie zmorzył. Zgoda?

— Zgoda!... — odetchnął pełną piersią uradowany fabrykant, wpuszczając swoją dłoń w otwartą rękę marynarza.

Poczem mały Bob wziął go poufale pod ramię, mówiąc:

— A teraz w drogę.

Wyszli obaj razem, ku wielkiej uciesze całej gawiedzi, niepomiernie ubawionej widokiem wystraszonego fabrykanta, który szedł w tak dobrej komitywie ze swoim przybocznym strażnikiem, jak gdyby się byli znali całe życie.

Na ulicy pan Cobson, rozczulony, rzekł do swojego towarzysza:

— Jednak poczciwy z ciebie chłopak...

Marynarz wzruszył ramionami.

— Cóż tam za poczciwość!... Że zarobię cztery dolary i golnę parę butelek whisky?... Każdy zrobiłby to samo, żeby mu się tylko sposobność trafiła.

— A jednak żaden z tych, którzy tam byli, nie zgodził się mi towarzyszyć.

— Bo to są wszystko podli tchórze.

Pan Cobson, zupełnie uspokojony towarzystwem walecznego Boba, jął się wstydzić, że przed chwilą okazał taki brak odwagi.

— Rozumiesz — rzekł — że nie o siebie samego drżałem...

— Domyślałem się tego.

— Chodziło tylko o to, że jeżeliby mi, broń Boże, przytrafiło się jakie nieszczęście, sąd musiałby być odłożony na później.

— Naturalnie.

— A wtedy...

Majtek przerwał mu:

— Ależ miałeś pan zupełną słuszność!

I jak okręt szalupę, ciągnął go za sobą zamaszyście przez ulice, puste już o tej porze, choć była zaledwie godzina dziesiąta wieczorem. Zdawało się, że pilno mu było stanąć na miejscu.

Pan Cobson, niski, gruby i pękaty, dreptał za nim, co miał sił, drobnemi kroczkami, sapiąc, dysząc, stękając i ocierając czoło z potu.

— Czy nie jesteś zdania, mój przyjacielu, że idziemy może trochę za prędko? — zapytał.

— Być może, lecz będziesz pan pewniejszy pod swoim dachem.

Te słowa podniecily upadające siły pana Cobsona, który wydłużył kroku, jakby go kto był batem przeciągnął po łydkach, i już aż do bramy swojego domu nie wyrzekł ani słowa.

Tylko, gdy klucz wprowadził do zamka, odsapnął jeszcze raz głośno, jak miech kowalski.

Wszedłszy przodem, rzekł do swojego towarzysza:

— Chodź za mną.

Gdy zaś ten przekroczył próg, zamknął drzwi, zakręcił klucz w zamku i zasunął rygiel.

— Czy nie masz pan łańcucha bezpieczeństwa? — zapytał ironicznie majtek.

Fabrykant toju spojrzał na niego wystraszony.

— Czy sądzisz, że to jest potrzebne?

— Czy pan nie widzisz, że żartuję? — zaśmiał się Bob. — Na co te wszystkie ry le i zamki, jeśli ja jestem przy panu?

Pan Cobson, uspokojony, rozśmiał się także i położył mu przyjaźnie rękę na ramieniu.

— Prawda — rzekł. — Z tobą, mój kochany, nie obawiam się niczego.

Otworzył drugie drzwi, wychodzące z sieni, i popchnął naprzód towarzysza.

— Wejdź tu — poprosił go — a ja wrócę za chwilę.

— A nie zapomnij pan o whishy!

— Właśnie po to idę.

Zostawszy sam, majtek rozejrzał się dokoła. Pokój, do którego go wprowadzono, służył snadź za kancelaryę właściciela, bo wzdłuż ścian, aż do sufitu, wznosiły się półki, zarzucone papierami. W rogu stała olbrzymia kasa ogniotrwała, a w środku dębowe biurko, oświetlone dużą lampą bronzową.

Oprócz drzwi, któremi weszli, były drugie, mniejsze, prowadzące do wnętrza mieszkania, i dwa duże okna, wychodzące na ulicę.

Bob podszedł do tych drugich drzwi, uchylił je i wsunąwszy głowę przez szparę, patrzył.

Drzwi te wychodziły na schodki, skręcające ku górnym apartamentom.

Nie skończył jeszcze swoich oględzin, gdy pan Cobson powrócił.

— Nic się nie krępuj — zawołał. — Bądź, jak u siebie.

Nie drgnąwszy nawet, majtek obrócił się i rzekł spokojnie:

— Pierwszym obowiązkiem żołnierza, mającego bronić jakieś stanowisko, jest rozpatrzyć dobrze położenie.

Fizyognomia pana Cobsona, z uśmiechniętej, stała się od razu frasobliwą; udając jednak zucha, zaczął sobie żartować.

— Co mi ty pleciesz!.. Czyżbyś sądził, że rzeczywiście...

— Nie wiem... — przerwał majtek, wzruszając ramionami. — Lecz przezorność każe...

Ściągnięte rysy gospodarza rozpogodziły się znowu. Stawiając na stole dwie butelki whisky, które niósł pod pachą, rzekł:

— Głupstwo! Z takiemi zamkami i ryglami możemy drwić sobie we dwóch z pana Luiggiego Merellego, nieprawdaż?

— Bez wątpienia — z przekonaniem odparł Bob.

Odkorkował butelkę, nalał szklanki i podając jedną z nich panu Cobsonowi, rzekł:

— Zdrowie pańskie!

I jednym haustem połknął alkohol, gdy fabrykant zaledwie umaczał w nim usta.

Siedzieli chwilę naprzeciw siebie, milcząc obaj, przypatrując się sobie wzajemnie, jakby się teraz dopiero widzieli po raz pierwszy.

Nagle majtek oparł się ciężko łokciem o biurko i pochylając się całym korpusem naprzód, zapytał:

— Więc naprawdę dbasz pan tak bardzo o swoją skórę?

— Rozumie się. A pan nie dbasz o swoją?

Bob dwuznacznie wzruszył ramionami, a pan Cobson spojrzał na niego z rozpromienionym uśmiechem, który zniknął jednej chwili z jego twarzy, gdy usłyszał swojego towarzysza, zadającego mu iście zdumiewające pytanie:

— Więc rozumiesz pan, że i dwudziestu biedaków, osadzonych tam w wieży, także dba o swoją?

Pan Cobson osłupiał.

— O jakich biedakach mówisz? Kogo tak nazywasz?

— Nie udawaj, kochany panie Cobsonie. Wiesz dobrze, o kim mowa.

— O łotrach z Maffii!.. — jęknął fabrykant, zrywając się z siedzenia.

Lecz opadł napowrót na krzesło, zdrętwiały ze strachu na widok rewolweru, którego lufę sąsiad trzymał skierowaną prosto ku jego piersiom.

— Usiądźże sobie wygodnie, kochany panie Cobsonie — zaśmiał się złośliwie marynarz — i pogadajmy...

Położył rewolwer na biurku, aby go mieć tuż pod ręką w razie potrzeby i rozłożył się wygodnie w fotelu, opierając w tył głowę o wysoką poręcz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny, Wacław [illegible]. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Z drukarni par. W. [illegible] Zarządca W. [illegible]